

PISMO DLA RODZIN.

№ 17. Warszawa, dnia 17 (29) Kwietnia 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

SPRAWY WYCHOWANIA

IV.

Kłamstwo małych dzieci.

W N-rze 12 „Opiekuna Domowego" z r. b. podaliśmy do opracowania matkom zadanie pedagogiczne treści następującej: *Co jest powodem powstawania u dzieci nałogu kłamstwa i jakie są najwłaściwsze przeciwko tej wadzie środki zaradcze? Wskazać je na podstawie przykładów z własnego doświadczenia.*

Odpowiedź najlepiej opracowaną zobowiązaliśmy się wydrukować w piśmie naszem, a nadto w rodzaju premijum zapewniliśmy autorowi trzy książki następujące:

1) Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno?.. przez Doktora Piotra Chmielowskiego.

2) Podwieczorki u Jadzi, książka do czytania dla dzieci p. Jaskółkę.

3) Błyszczące nędze, powieść oryginalną przez M. Bałuckiego.

Człowiek jest tem czem go zrobiło wychowanie, czyli innemi słowy jest on tem czem mu matka być kazała, w ręku bowiem matki przeważnie ster spraw wychowawczych spoczywa. Dla czegóż więc mamy tylu ludzi złych, tylu nieszczęśliwych ludzi — kiedy wiadomo iż każda matka kocha dziecko swoję, kiedy faktem jest iż nie ma bodaj ofiary na jaką by nie zdobyła się matka, byle dziecku swemu nieba, jak to mówią przychylić?... Krótko na to odpowiemy pytanie. Tak jest nie ma kobiety, godnej słodkiego imienia matki, którąby nie kochała swych dzieci — ale przebaczcie nam otwartość — nie wiele jest matek pojmujących jak należy wysokie powołanie swoje. Człowiekiem w całem tego słowa znaczeniu, ten tylko być może, kogo pod moralnym i fizycznym względem wychowano rozumnie i poczciwie — a do tego sama tylko potęga macierzyńskiej miłości nie jest wystarczającą. Trzeba umieć wychowywać—a kobiety nasze, a przyszłe matki nasze, umiejętności tej równie trudnej jak świętej i wielkiej, podobno że nie uczą się wcale. „Opiekun Domowy" jako pismo rodzinom polskim poświęcone, chciałby ten brak fatalny usunąć, chciałby przyczynić się do tego iżby matki *wychowanie* traktowały jako naukę, iżby dalej córki swoje zawczasu sztuki tej wyuczały. Taki cel mają zagadnienia pedagogiczne, jakie od czasu do czasu podawać będziemy w „Opiekunie." Czy jednakże przyzwoitą jest rzeczą wykładać młodem dziewicom nauki podobne?... Na to również króciuteńka odpowiedź. Za późno mówi przysłowie po śmierci wędrować—a jednemu Bogu wiadomo ile łez, ile krwi kosztowało nas to właśnie, że zaczynamy uczyć się wtedy dopiero, kiedy czas byłby owoce z nabytej już nauki w praktyce stosować. — Ale wracajmy do rzeczy.

W odpowiedzi na zagadnienie o jakiem mowa w artykule niniejszym, nadesłały nam odpowiedzi:

1) Pani Karolina Klajder z Czernihowa.

2) Pani J. Iżycka z Kołodzianki.

3) Jaś Kamieński z Ignalina.

4) Autorka bezimienna.

Żadna z czterech prac nadesłanych nie wyczerpuje dostatecznie przedmiotu, razem wzięte jednakże dostarczały nam materyjału do ułożenia artykułu, który bądź co bądź na *przyczyny powstawania kłamstwa u dzieci*, rzuci jakie takie światło. Najwięcej uwag trafnych znaleźliśmy w odpowiedzi p. Karoliny Klajder. Jej też przyobiecane przyznajemy premijum.

Wadą bardzo powszechną w dzieciach, wadą która nietylko paraliżuje najlepsze chęci Rodziców, ale często wystawia ich nawet na śmieszność jest *kłamstwo.*

Utrzymują niektórzy że kłamstwo jak w ogóle wszystkie złe skłonności, dziecko z sobą na świat przynosi, kto jednak bacznie śledził dziecię od chwili urodzenia, kto śledził za rozwojem wszelkich jego skłonności, ten wie że dzieci złe się nie rodzą—że złe nawyknienia przywłaszczają one sobie od otaczających. Dwa są właściwie rodzaje kłamstwa, mianowicie kłamstwo świadome i kłamstwo nieświadome. Dzieci powolnego usposobienia wiedzą o tem że kłamią — dzieci żywe nie wiedzą często o tem i zupełnie tego nie czują. Zobaczmy jakie przyczyny składają się na oba rodzaje kłamstwa i jakie są środki dla wykorzenienia złego.

Stefcio dostrzegł jabłka w otwartej szafie. Mama zabroniła mu brać je bez swego pozwolenia. Ale gdy Mama wyszła z domu, Stefcio zakaz przestąpił. Po powrocie Mama to spostrzegła i ukarała Stefcia, który przyrzekł nigdy już podobnego nie dopuścić się przestępstwa. Mama wyszła jednak kiedyś znowu z domu a Stefcio znowu się dobrał do jabłek. Zakaz Matki wyszedł mu z pamięci, zagłuszył go zresztą pociąg do „zakazanego owocu!" zjadł parę jabłek, nie rozumiejąc że dopuszcza się prze-

stępstwa i że czeka go za to gniew Matki. W czasie zabierania się do jabłek łakomstwo nie staczało w nim walki z zakazem Matki, taka walka to już właściwość starszych. Stefcio ujrzawszy ulubiony owoc nie myślał o zakazie; właściwie więc nie popełnił przestępstwa, bo postąpił zupełnie bezmyślnie.

Przychodzi Matka i zapytuje surowo Stefcia czy ty wziąłeś jabłko? Dziecko to blednie to czerwieni się znowu; *przypomina sobie zakaz Matki i gotów przyznać się do winy. Ale jednocześnie przypomina sobie poprzednią karę i ból, milczy i waha się czy odpowiedzieć tak czy nie. Trwoży go surowy wzrok Matki odpowiada więc po chwili — nie Mamo! ja wcale jabłek nie ruszałem.*

Dziecko skłamało raz pierwszy a do tego pierwszego skłamania zmusiła go Matka, bo wzbroniła rzeczy łatwo dostępnej, dziecku nieprzyuczonemu do panowania nad sobą. Uczucie doświadczane w owym czasie ciężyna dziecku; wie ono że dopuściło się tego czego się przed chwilą zaparło, wie że nie mówi tak jak mawiało zwykle dotąd, ale nie uważa tego za złe, owszem uważa to za konieczne i naturalne.

Jeżeli Matka spostrzegła zawczasu pomyłkę jakiej się dopuściła, bo pomyłką jest żądanie szczerości od dziecka wtedy, kiedy wie ono że po przyznaniu się do winy będzie ukarane, w takim razie można złe jeszcze naprawić; gorzej jest jeżeli Matka rozgniewana nazwie dziecię łgarzem, i. t. p. Wtedy napewno można powiedzieć że dziecko takie zostało zepsutem. Nie można jest żądać rzeczy niemożliwych, nie można wymagać aby malec wyrzekł się tego, ku czemu ma pociąg nieprzezwyciężony, bo wstrzemięźliwość, bo panowanie nad sobą nie może być jego przymiotem. Taka cnota zdobywa się pomału drogą doświadczeń lub przekonań, na to więc długiego czasu potrzeba.

Podobnych jak powyższy przykładów możnaby bardzo wiele naliczyć, jak jabłka w niezamkniętej szafie—tak ciastka—cukier—ogród owocowy i t. p. są okazyjami do grzechu.

Czy potrzeba nam jeszcze śledzić za dalszym rozwojem nałogu kłamstwa u dzieci?... Krótko może ale dosyć jasno wskazaliśmy że wada ta rozwija się prawidłowo, że najczęściej dziecko, postępowaniem nierozważnem Rodziców lub wychowawców mimowoli jest popychane na tę zgubną drogę. A najtrudniej jak zawsze zacząć — dalej idzie się coraz gładziej. W życiu potocznem rodziny — przytrafiają się codziennie bodaj wypadki na które żadnej nie zwraca się uwagi—a tymczasem w tych właśnie wypadkach, czerpie dziecko zaraźliwe przykłady złego. Do Ojca rodziny przychodzi dajmynato ktoś z interesem. Ojciec dla jakichkolwiek bardzo zresztą uzasadnionych może powodów nie chce się widzieć z przybyłym i poleca mu oświadczyć że nie ma go w domu. Dziecko patrzy na to wszystko i spotrzega że nie koniecznie tak mówić potrzeba jak jest w rzeczywistości i wytwarza w sobie przekonanie że Rodzice wzbraniając mu kłamać, czynią to dla tego jedynie, że mu jabłek — cukru — czy ciastek *zazdroszczą*.

Zazwyczaj przecież nie zwraca się żadnej na to uwagi że taka bagatela jak nieprzyjęcie gościa, usprawiedliwione zresztą jak wspomnieliśmy o tem, najważniejszemi może przyczynami, wychodzi dziecku na szkodę — a jednak tak jest w istocie. Dzieci—trzeba dobrze pamiętać o tem, mają nadzwyczajny dar spostrzegania; każdy krok starszych są wstanie zauważyć i osądzić trafnie, chociaż jednostronnie tylko.

Kiedyindziej znowu przychodzą goście w dom Rodziców; w obecności dzieci robi się im tysiące grzeczności — zapewnia o szacunku—życzliwości—przyjaźni. Goście po chwili żegnają się i wychodzą — ale o dziwo! zaledwo za próg wyszli, znowu w obecności tych samych dzieci zaczyna się nowa ale zupełnie inna o nich pogawędka. Wszystko co się chwaliło przed chwilą — wyszydza się obecnie do ostatniej nitki.

Czy przewrotność taka — czy taki fałsz chwytany co chwila na gorącym uczynku, może korzystnie oddziaływać na dziecię?.. Czy widząc na każdym kroku usprawiedliwienie swoich postępków, może dziecko zrozumieć że źle jest mówić inaczej a robić inaczej?... Tego zdaje się dowodzić nie potrzeba.

Albo inny jeszcze przykład. Malec coś zbroił, ukarano go więc i płacze. Ojciec czy Matka każe mu się przepraszać, za winę której dziecko uznać nie jest w możności. Z początku dziecko nie przystaje na to, groźby jednak i postrachy zmuszają je do spełnienia żądania wbrew woli i przekonania, przeprasza więc słowami ale zupełnie co innego myśli. Czując w duszy niechęć chwilową ku Ojcu czy Matce—dziecię jednocześnie ustami oświadcza najprzyjaźniejsze uczucia. Jedno podobne wydarzenie nie zepsuje zapewne dziecka, ale jak mówi przysłowie: *najtrudniej zacząć—pójdzie się dalej*, a jedno skłamanie z jakiejkolwiek bądź przyczyny — często niedostrzeżonej prawie może się przyczynić do stałego tej brzydkiej wady rozwoju. Często gorzej się też jeszcze przytrafia. Ojciec czy nauczyciel każe np. dziękować dziecku za to że go ukarano, z uwagi że to dla dobra jego zrobiono. Czy dziecko pytamy się, dziecko sześcio lub ośmioletnie może w karze coś więcej widzieć jak karę, czy może pojąć że go wybito, że mu ból sprawiono, dla tego jedynie że mu się dobrze życzy?.. Ni; dziecko tego pojąć nie jest w stanie. Wie ono tylko że gdy biją to boli — że więc od wybicia chronić się koniecznie należy i myśli nad tem jakby się w danym razie ochronić. Pomyślało i udało mu się raz i drugi, ukryło przed Rodzicami swój postępek jakiś — więc podług swego rozumienia rzeczy, postąpiło bardzo dobrze. Tysiące możnaby podobnych przedstawić przykładów na dowód że niewłaściwe postępowanie starszych jest główną do wytwarzania w dzieciach nałogu kłamstwa przyczyną. „Jeżeli będziesz rozumny, albo jeżeli będziesz posłuszny, mówimy dajmy na to do malca, dostaniesz to i to, albo kupię ci to i to. Jeżeli dziś na wizycie będziesz grzeczny i nie będziesz się napierał niczego, kupię ci konika i t. d. Dziecko przyrzeka być rozumnem, posłusznem, grzecznem, przyrzekło by być dowcipnem, bardzo bogatem—wszystkiem czem byśmy chcieli, dla tego żeby zasłużyć na to

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

V.

Gdzież wy urocze blaski błękitnego nieba, kwieciste kobierce na łonie odrodzonej natury?... Gdzieżeś o wiosno upragniona?.. Jakie nieprzyjazne losy sprawiają, że wiecznie odwracasz od nas pogodne oblicze swoje?... Może sprzykrzyło ci się już przyświecać nad krajem naszym, i powędrowawszy w obce strony, nie myślisz doń powracać?!.. Łaski, błagamy, łaski, o dobroczynna pani! Przybiegaj szybko i ogrzej ożywczem ciepłem swych promieni zziębnięte serca nasze!...

Okropne są ze wszech miar skutki tegorocznej atmosfery!..

Kupcy narzekają na mniejszy stosunkowo ruch handlowy, szczególniej w sferze metamorfozy zewnętrznego stroju; młodzież złota i pozłacana obojga płci, ubolewa nad niemożebnością zaprodukowania toalety i szyku na eleganckiej przechadzce; poeci z utęsknieniem oczekują pierwszej piosenki słowika, aby zawtórować jej harmonijnym tonem; wreszcie wydawcy kalendarzy obawiają się utraty wiary i rychłego bankructwa. Słowem Sodoma i Gomora, płacz i zgrzytanie zębów!..

Romantyczne indywidua utrzymują, że urocza czarodziejka—wiosna, dla tego jeszcze do nas nie zawitała, że żaden z pieśniarzy nie wezwał jej dotąd dźwięcznym tonem sielankowej piosenki. Kapryśna to pani i obyczajem płci swojej, żąda wiecznie pochwał i uwielbienia. Dalej więc, wieszczowie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, nastrójcie lutnie swoje i czułym głosem zanucćie pieśń łabędzią, a zachwycona jej dźwiękiem, na skrzydłach zefiru przyleci do nas urocza bogini, na którą, tak długo daremnie oczekujemy. *Salve, carissima amica!*

Widocznie przyjaciołkom naszym zaufać nie możemy. Nie dość, że jedna tak niegodnie nas zdradza, niedawno i druga również niedobre snuła zamiary. Stara, poczciwa *Wisła* nasza igrała na dobre, grożąc nadbrzeżnym sąsiadom chłodnemi objęciami swemi. Biedacy ci ulegliby tym sposobem podwójnemu nieszczęściu, użyliby bowiem kąpieli: *primo* nie bardzo upragnionej, *secundo* prawdziwie zimnej.

Widzimy więc, że dwa potężne żywioły (woda i powietrze) na dobre się przeciwko nam zbuntowały i obiecują niezbyt miłe niespodzianki. Obawiamy się, żeby i inne żywioły idąc za ich przykładem, nie powstały na zagubę szlachetnych obywateli nadwiślańskiej krainy. Pożerczy ogień jest już zresztą stałym nieprzyjacielem naszym. Jedna tylko poczciwa ziemia, prócz chłodu, wiejącego z jej łona, niczem więcej nam nie zagraża. Jednakże, wobec wrogiego zwrotu całej natury, gotowa i ona, zadając kłam przeszłości, wyrządzać od czasu do czasu małe figielki w formie miłej gimnastyki nadpowietrznej. Co, u nas trzęsienie ziemi?!... zawołacie zdziwieni. Ha!—kto wie, mamy już przecież pewne w tym względzie *preludyja*. Słyszeliście zapewne o wypadkach na ulicy Dzikiej, Karmelickiej i Pawiej!..

co mu przyrzeczono, chociaż rzecz prosta nie pojmuje ściśle co to jest rozum, co to jest posłuszeństwo i t. p. i pomimo woli przyrzeczenia nie spełni.

Któż więc w tych wypadkach wszystkich przymusił dziecko do kłamstwa?.. Odpowiedź bije zanadto w oczy...

Nie właściwą również jest rzeczą obiecywać dzieciom wszystko czego zapragną, wiedząc z góry że się obietnic tych nie spełni, bo przyucza się je również lekkomyślnie obiecywać i niedotrzymywać obietnic.

Co do świadomego kłamstwa — rozwija się ono zazwyczaj od zbytecznego rozpieszczenia dzieci. Chłopczyk biega i bawi się pod okiem Matki. Matka tknięta niepotrzebną czułością bierze go na raz na ręce, gładzi po główce, — ah! jaką masz główkę gorącą — powiada „jakiś ty zmęczony kochanku — odpocznij sobie, a może chcesz ciasteczka kochanku?“ Dziecko najzdrowsze i najweselsze przyznało się do zmęczenia i dostało ciastek przy tysiącu pocałunków i pieszczot. Taka scena powtórzyła się razy kilka i chłopiec zrobił się łgarzem skończonym. Zachciało mu się ciastek i skarży się na ból głowy, bo wie jakie mu od tego podadzą lekarstwo. Niech Matka weźmie go teraz za główkę, niech się przekona że synkowi nic zgoła nie jest, niech mu zwróci na to uwagę a zobaczy że pieszczoch ani się zająknie, ale oj boli—boli— jak mamę kocham— odpowie.

A teraz jakie są przeciwko kłamstwu środki zaradcze spytacie. Środek na to jest jeden, ale zato nie zawiedzie was nigdy. Chcecie aby dzieci wasze nie kłamały?.. Nigdy otóż chociażby żartem tylko, nie pozwólcie sobie skłamać przy dziecku. Ale jakto powiecie?... A przecież dzieci zadają nam często takie pytania, że odpowiedzić wprost szczerą na nie prawdą, byłoby właśnie skazić niewinną duszę dziecka. Macie słuszność odpowiadamy— ale zamiast odpowiedzieć fałszem—powiedzcie wprost malcowi—dziś nie zrozumiesz tego kochanku — jak przyjdzie na to pora wytłomaczymy ci to chętnie.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

— Trzeba przecież coś robić, aby się okazać niezawisłym od tego, co żona wnieść może! odparł ze spuszczoną twarzą aplikant.

— Otóż to mi się podoba! krzyknął wesoło stary kasyjer — patrz Michasiu, co to znaczy dobra krew! Kubek w kubek tak myśli jak jak ja myślałem, gdy mi skręcono siostrzenicę kanonika. Pójdź niechże cię za to ucałuję!... Kto miłość swoję myślą o pracy dla przyszłego gniazda rozpoczyna, ten wart jest... wart jest... dalibóg wart jest — kieliszka węgierskiego wina! Nie prawda Michasiu?

Kasyjerowa która dotąd z wewnętrzną radością przysłuchiwała się rozmowie, złożyła teraz usta do zagadkowego uśmiechu i rzekła.

— A skądże weźmiesz na prędce wina?

Kasyjer zpod oka spojrzał na żonę.

— To prawda — odparł — ale zdaje mi się że z imienin została mi jedna buteleczka.

— Mylisz się... wiem z pewnością, że wszystko wyszło.

Kasyjer spojrzał drugi raz na żonę.

— Aha! zawołał po chwili — przecież jest butelka, którą mi przysłał burmistrz!

— O tem nic nie wiedziałam!

— Jak cię kocham, że przysłał, tylko zapomniałem ci o tem powiedzieć!

Kasyjerowa uśmiechnęła się. Nic nie powiedziała że przed godziną widziała w lewej kieszeni zielonego surduta długie pękate naczynie... Domyślała się, że mąż z Karolem chciał dzisiaj wychylić kieliszek uroczystego napoju, który w domu starego urzędnika zwykł się tylko w dniach nadzwyczajnych pojawiać. A dzień dzisiejszy był dniem nadzwyczajnym!

Za kilka chwil stał już kasyjer z butelką. Twarz jego jaśniała radością, że wydatek zbytkowy pokrył przed żoną grubą tajemnicą.

— Patrzcie! zawołał trzymając kieliszek do okna — czyste i jasne jak przyszłość naszego kochanego Karola!... A więc twoje zdrowie i szczęście!...

I duży, z wyrzynanemi kwiatkami kieliszek obszedł trzy razy koleją.

XI.

Od tego pamiętnego dnia rozpoczęło się nowe życie w białym dworku.

Babunia była w nieustannej gorączce. Jakby przewidywała swój bliski zgon, czekała z niecierpliwością owej chwili, w której wyważe się z obowiązków swoich na ziemi i ukochaną wnuczkę, powierzy opiece zacnego i pracowitego człowieka.

W tym celu zbliżała się z każdym dniem co raz więcej do pani kasyjerowej, aby młodemu aplikantowi ułatwić staranie się o pannę. Kasyjerowa dopomagała z całych sił tej zacnej intencyi babuni, i zaraz na trzeci dzień po kawie z plackami i muzyką zaprosiła wszystkich do siebie przygotowawszy mnóstwo pieczywa i bakalijów. A ponieważ staremu kasyjerowi znowu łaskawy burmistrz sześć butelek węgrzyna nadesłał, można więc było temu wieczorkowi nadać pozór nie pośledniej uroczystości. Kasyjerowa wiedziała wprawdzie że te butelki pochodziły od Arona, i nabyte były za gotówkę, którą kasyjer za prace wieczorne zarabiał — nie miała jednak nic przeciw niewinnemu podstępowi człowieka, który słusznie wstydził się tak zbytkowego wydatku przed sobą i ludźmi.

Babunia rada była z przyjęcia tak uroczystego i cieszyła się że sprawa idzie dobrze.

Sprawa rzeczywiście szła wybornie. Salomea zmieniła się zupełnie od owego dnia pamiętnego. Oczy jej rozpaliły się i pociemniały, twarz okryła się stałym, gorącym rumieńcem, a na ustach widać było nieustającą gorączkę. Ruchy miała szybkie i urywane, jak-

---

W tej chwili przychodzi nam świetna myśl do głowy. Chwytamy ją czemprędzej i wygłaszamy na pożytek cierpiącej ludzkości. Czy wiecie, czytelnicy, jaki jest najlepszy sposób na to, aby w chwilach kłopotów finansowych, uwolnić się zręcznym manewrem od zapłaty komornego?... O niedomyślni! — a toć sama praktyka daje wam nieoszacowaną w tym względzie naukę. Oto po prostu, pożegnawszy nielitościwego domowładcę, który z oburzającą impertynencyją żąda miesięcznej lub kwartalnej daniny, udajcie się na pielgrzymkę po ulicach grodu naszego, a skoro ciekawym oczom waszym przedstawi się świeżo wytynkowana kamienica, idźcie natychmiast do jej właściciela lub administratora, i nie pytając nawet o cenę, przenoście swą osobę wraz z niezbędnemi przynależytościami. Następnie przez pewien czas pod rozmaitymi pozorami wstrzymujcie się od wypłaty z góry komornego. No i cóż dalej?... Jakto jeszczeście się nie domyślili!... Oto pewnego pięknego poranku...huk...puk...i nagle stajecie przed sądem Opatrzności *na dolinie Józefata*, oczekując tam, aż najbliższą pocztą przybędzie komornik, aby w imieniu pokrzywdzonego domowładcy upomnieć się o należną zapłatę. Wątpimy jednakże, czy przedstawiciel finansowej sprawiedliwości zgodzi się na tak przykrą a niepowrotną podróż. Możecie więc spokojnie spoczywać na łonie Abrahama, śmiejąc się z niedomyślnych współbraci, którzy tu na ziemskim padole muszą drogo opłacać schronienie swej doczesnej egzystencyi.

Prócz czysto indywidualnego znaczenia dla pewnych osobistości, jakieśmy to wyżej wskazali, nowo odkryty systemat budowania domów ma jeszcze inne, ważniejsze społeczne znaczenie.

Oto ekonomija polityczna, bardzo mądra nauka, o której wiele czytaliście zapewne w uczonych artykułach literatów naszych, dowodzi, że czem mniejsze jest zapotrzebowanie w sferze atrybucyi życiowych, tem niżej upada cena produktów ich zaspokojenia. Otóż, jeżeli w krótkim czasie dowiecie się, że liczba współubiegających się o zdobycie siedzib doczesnych, wskutek nieszczęsnych wypadków rujnacyi, zmniejszyła się znacznie, wtedy cieszcie się i weselcie, bo oto przyjdzie godzina, kiedy na białych kartach, zdobiących bramy, ujrzycie ceny, o jakich wśród długich bezsennych nocy zaledwie marzyć mogliście.

Widzimy więc, że nowy sposób budowania domów jest dowodem prawdziwej bezinteresowności, a nawet poświęcenia ze strony właścicieli, albowiem oni tylko jedni tracą na tym interesie. Chcąc okazać się sprawiedliwymi, musimy i tym biedakom dać na przyszłość małą nauczkę. Oto szanowni panowie, ubezpieczajcie prócz nieruchomości i zbyt ruchome życie lokatorów waszych, abyście nie byli zmuszeni posyłać po komorne na dolinę Józefata. Wątpimy jednakże, czy Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń, zgodzi się na podobną spekulacyją.

W każdym razie, obawiajcie się zmniejszenia *popytu* i zbytniej konkurencyi ze strony kolegów waszych.

A nie ma nic zdradliwszego nad konkurencyją. Dziwne bo niekiedy figle płata ona przemysłowcom i wszelkiego rodzaju praco-

by ją coś ustawicznie niepokoiło. Słowa jej były serdeczne i namiętne — nawet wibracyja głosu wskazywała jasno, że tam w głębi duszy coś wre i kipi, i światła bożego czeka z niecierpliwością. Widział to nietylko Karol ale i stary kasyjer.

Gdy Karol przechodził się z nią pomiędzy fasolą i burakami, umiała mu o fasoli i burakach tyle poetycznych nasnuć obrazów, tak często mu przytem rękę ściskała przepraszając za połamane kwiatki i trawki, że szczęśliwy aplikant był w siódmem niebie i już naprzód układał sobie plany najśmielszych swoich marzeń!

Widoczne było, że w sercu Salomei odbywało się coś niezwykłego, że cała jej postać zmieniała się pod wrażeniem tego, co się tam w głębi kryło.

Aplikant wszystko to odnosił do siebie, bo tak sobie życzył. W sercu jego wrzało głębokie, szlachetne uczucie, a było zbyt silne, aby mu tak wzroku nie zafarbować, jak tego sam pragnął. Przyłączyła się do tego jeszcze opinija miasta, która w tem zacnem i szlachetnem staraniu się o pannę Salomeę nic nie podobnego nie widziała.

Jako człowiek szlachetny i z uczuciem delikatnem nie zbliżał się zbyt poufale do Salomei, ale kontentował się lekkiem cieniowaniem swojej rozmowy i całego względem niej zachowania się.

Było to może zbyt subtelne dotykanie się przyszłości swojej, ale Karolowi wystarczała ta subtelność, bo dla dziewiczego niczem nie odurzonego jeszcze jego serca, wystarczała lekka wibracyja głosu i jedno niezwykłe spojrzenie. Resztę jako dobry gospodarz, chował na później.

A Salomea była właśnie teraz tak rozrzutną co do takich spojrzeń. Mogły one być wywołane jakimś niewidomym, wewnętrznym obrazem, ale Karol o tem nie wiedział i wierzył tylko w to, co widział.

Gdyby aplikant trochę chłodniej był na Salomeę patrzał, byłby niezawodnie spostrzegł, że ona dzisiaj dla wszystkich była tak wylaną, tak serdeczną. Jej serce rozszerzało się rozkosznem uczuciem, a w takim stanie kochało cały świat i wszystkich ludzi. Każde jej słowo, każdy uśmiech był zafarbowany tem uczuciem — każdy ruch zdradzał je. Nic więc dziwnego, że biedny aplikant popadł w pewne złudzenie optyczne, na które składało się tyle okoliczności temu złudzeniu sprzyjających.

Babuni ani przez głowę nie przeszło, aby się inaczej stać miało, jak sobie po sumiennej rozwadze ułożyła. Wybrała dla wnuczki człowieka zacnego i pracowitego, który zna wszelkie warunki, aby zgotować jej przyszłość szczęśliwą. Nawiązała nić w sposób dyskretny, i była pewną, że sam czas zmota tę nić na kłębek. Wiedziała nawet że ta nić bardzo wdzięcznie przyjętą została i że dalej pomyślnie się mota. Salomea bowiem od owej kawy z muzyką, była niewyczerpaną dla niej w pieszczotach swoich. Od rana do wieczora całowała ją i ściskała — a często nawet klękała u nóg jej i płakała. Był to dla babuni namacalny dowód szczęścia, które rozpiera serce ukochanej wnuczki. W porannym więc i wieczornym pacierzu dziękowała Panu Bogu, że u mety życia zsyła jej taki spokój sumienia, z jakim położy się na sen wieczny do grobu.

W takiem położeniu nie można było wiele rzeczy odmówić rozpieszczonej wnuczce. Chciała codziennie grać, a pan Floryjan był tak blisko że można było na niego tylko ręką kiwnąć. Zresztą wypadało biednemu muzykow dać choć łyżkę lepszego rosołu od tego, jaki mógł zjeść u biednej rodziny swojej. A było to hojne wynagrodzenie za to, że codziennie z godzinkę zabawiał się z Salomeą. Zresztą stara krew Rabsztyńskich poczuła się może do pewnych obowiązków względem sztuki krajowej, i pochlebiało to jej, że od czasu do czasu nakarmi biednego artystę.

Tym sposobem był Floryjan prawie codziennym gościem w białym dworku. Nie uderzało to nikogo. Salomea poprostu chciała lekcyj — a artysta był od tego, aby lekcyj udzielał. Rabsztyńska prawdopodobnie płaci mu za to, a że zapłata w takim razie bynajmniej artystów nie obraża, więc Floryjan mógł bardzo łatwo przyjąć taką kondycyję. Do tego jeszcze był on zawsze na wylocie. Każdemu ze znajomych mówił, że za dni kilka wyjeżdża do Włoch i do Francyi i każdy prawie żegnał się z nim co kilka dni „na wypadek, jeżeli rzeczywiście odjedzie!“ Tymczasem Floryjan niewyjeżdżał, a znajomi cieszyli się nawet, że słowa swego nie dotrzymuje.

Tak samo jak całe miasto zapatrywał się i Karol na artystę. Nie podejrzywał go bynajnajmniej, że mu w drogę wchodzi. Uważał go poprostu za nauczyciela i cieszył się że Salomea ma takie zamiłowanie do muzyki, której sam był wielkim miłośnikiem. I on żegnał się z nim kilka razy i był pewny, że lada dzień wyjedzie. To odejmowało mu wszelkie podejrzenie, które nawet w obec Salomei uważał za występne.

Tymczasem sam artysta nabierał w mieście coraz więcej znaczenia. Komitet dla pogorzelców zawezwał go do udziału w koncercie, w którym miał zaszczyt grać razem z córką starosty powiatowego. Na estradzie obok tak znakomitej osobistości wyglądał wspaniale, i wszystkie kobiety zawyrokowały, że obok ładnych oczu i wąsów jest.. prawdziwym artystą!

Od tego czasu cały prąd przechadzek miejskich zmienił nagle kierunek. Dawniej kierowano kroki ku rzece, gdzie była okolica romantyczna—dzisiaj przechodzili wszyscy koło dworku, aby słyszeć muzykę wychodzącą z okien otwartych.

W białym dworku była teraz prawie co dzień kawa poobiedna z muzyką. Znajomi odgadli odrazu cel takiej zabawy. Salomea była panną na wydaniu, był także już i konkurent — potrzeba więc było dla młodej przyszłej pary sposobności zbliżenia się ku sobie i większego przytem ruchu. Potrzeba było, aby rzeczywistość przybrała się w sukienkę odświętną, bo na tle takiego przystrojenia i panna wygląda korzystniej i zaraz łatwiej się z sobą porozumiewają.

---

dawcom. Oto w pewnem pismie prowincyjonalnem czytaliśmy niedawno oryginalne bardzo ogłoszenie jednego ze śmiertelników, pokrzywdzonych przez tę zdrajczynię. Treść jego następująca: „W obecnym czasie pewne indywiduum, powodowane osobistym interesem, rozgłosiło fałszywą wieść, jakobym udał się do Warszawy i tam nagle życie zakończył. Na podziękowanie Bogu, że to nie miało miejca, ofiaruję *rs. trzy na osady rolne dla młodych przestępców*, oświadczając przytem, że mieszkam w mieście X, przy ulicy X, pod Nr. X, i wszelkie żądania w przedmiocie pomiarowym, jak dotąd tak i nadal do wykonania przyjmuję.“ Widzimy więc, że najlepszym sposobem zwalczenia przeciwnika w krwawym boju konkurencyi jest wyprawić go czemprędzej w krainę wieczności, nie używając wszelkich środków, prawem zabronionych. Fatalnem jest jednakże, jeśli pogrzebany w ten sposób przeciwnik, jak *deus ex machina* nagle się pojawi i ogłosi publicznie, że cieszy się pożądanem zdrowiem i przyjmuje wszelkiego rodzaju obstalunki. W każdym razie wartoby unieśmiertelnić wielkiego męża, który pierwszy odkrył i zastosował tak zręczne a niewinne *remedium.*

A o nieśmiertelność u nas nie tak trudno. Cieszcie się bracia literaci! Imiona wasze nie zaginą w mgle zapomnienia, lecz uwieńczone aureolą chwały, przejdą do potomności w formie .... *ocalonych od zaguby rękopisów.* Oto pewien poczciwy *wieśniak z Zawiśla* w liście do *Kroniki Rodzinnej*, radzi zbierać autografy i rękopisy współczesnych autorów, nadsyłane do druku w czterdziestu czasopismach i drukarniach warszawskich. Że też dotąd nikomu nie przyszło to do głowy. Wstyd doprawdy, że aż bracia wieśniacy muszą nas wyręczać w pomysłowości. Szanowny korespondent nie wątpi, że „znaleźliby się amatorzy, którzyby kupowali chętnie całe albumy kartek różnych autorów, już nie wszystkich dla pamiątki, ale dla samej *rozmaitości* (?), dla przekonania się jak pisali ludzie żelaznej pracy, głębokiej wiary, wielkiego serca i poświęcenia, bystrego umysłu, lub spaczonego jednostronnemi poglądami ducha (!).“ Czcigodny projektodawca radzi sprzedawać te drogocenności, a otrzymane stąd pieniądze przeznaczać na wsparcie ubogich. My ze swojej strony nie mamy nic przeciwko temu i gotowi jesteśmy złożyć u nóg filantropów spore stosy rękopisów naszych. Możemy im nawet przekazać całe archiwa artykułów, złożonych *ad acta.* Wartoby również przekonać się, jak pisali ludzie, których prace znalazły doczesne schronienie w głębi *kosza redaktorskiego.* W ogóle przyklaskujemy z całego serca świetnej pomysłowości obywatela z Zawiśla.

A propos pomysłowości. Niekiedy prowincyja zawstydza w tym względzie starszą siostrzycę swą — Warszawę. Rumieńcie się, szlachetni adepci Melpomeny, którzy z godnym litości stoicyzmem znosicie pociski złośliwych Zoilów. Czyż dopiero młodsi bracia w Garryku muszą was uczyć, jak to się mścić należy. Oto jeden z ich grona, urażony nieuznaniem talentu swego przez miejscowego recenzenta, występując w roli galicyjskiego literata, uplastycznił w charakterystyce twarzy złośliwego krytyka. Tym sposobem mizerny aktorzyna

Tak sądzili znajomi i korzystali z tego ożywienia nudnego dawniej przedmieścia. Całe tłumy przechodziły teraz w południe po pod okna białego dworku i przysłuchiwały się wychodzącej z tych okien muzyce.

W domu kasyjera tak samo myślano. Wyjątkowy tryb życia w białym dworku uważano za zgodny z powszechnym zwyczajem, który się praktykuje, gdy panna jest na wydaniu. Pozwala to pannie ubrać się lepiej i przy wyższem nastrojeniu umysłów, odegrać korzystniej swoję rolę. A wyższe to nastrojenie daje *młodej* pannie i konkurentowi sposobność, aby siebie należycie poznali i wzajem się ocenili. Do szat bowiem strojniejszych wybierają się cenniejsze klejnoty ze skarbca wiedzy i nauki, a dobrze i korzystnie jest zajrzeć wzajemnie na dno takiego skarbca!

Takie o tych zabawach było zdanie w domu kasyjera. Żadna taka grająca kawa nie odbyła się bez państwa kasyjerowstwa, do których należał i Karol.

Kasyjerowa patrzała z kanapy z wielką rozkoszą jak Salomea serdecznie z Karolem rozmawiała — a stary kasyjer pozwalał nawet sobie przed babunią niewinnych żartów o zmianach, jakie wkrótce w tym białym dworku zajść mogą. Babunia przyjmowała łaskawie te żarty, nazywała Karola swoim wnukiem i widocznie cieszyła się z tego.

Jeden tylko aplikant mimo widocznego szczęścia swego chudł i bladł coraz więcej. Być może, że szczęście tak na niego działało, być może że trapiła go niecierpliwość, aby jak najprędzej dojść do mety... być może, że jakie inne, skryte miał powody do tego aby chudnąć i blednąć wtedy, gdy inni coraz lepiej wyglądali.

— To dobry znak! — szeptała babunia do ucha staremu kasyjerowi — widać że się mocno kocha!

Kasyjer kiwnął w prawdzie głową, na znak że zgadza się ze zdaniem babuni — szepnął jednak żonie do ucha:

— Karol się widocznie zabija! Aby mieć swoje grosiwo, za które chce gniazdko swojej przyszłej magnifice przystroić — pracuje dziennie piętnaście godzin!... Jeżeli to z rok potrwa, to chłopca i wesele dyjabli wezmą!

Kasyjerowa westchnęła a uznając obawy męża za słuszne, nie wiedziała innej na to rady, jak tylko przyśpieszyć uroczysty akt zaręczyn.

— Gdy będzie jego narzeczoną — mówiła do męża — to będzie przy niej siedział a praktykę u notaryjusza puści płazem!

— Tak i ja myślę — odparł rozsądny małżonek — dla tego chce przy pierwszej lepszej sposobności nacisnąć na niego!

Od takich rojeń dziwnie odbijała teraz cała postać Salomei. Była wprawdzie dla wszystkich gości swoich bardzo serdeczną, ale do serdeczności tej nie przywiązywała żadnej wagi. Była ona po prostu potrzebą jej serca i dzisiejszego jego nastroju. Słowa, spojrzenie, uścisk wszystko było zafarbowane tym nastrojem...

Salomea kochała!

Kogo kochała — łatwo odgadnąć. Kochała człowieka niezwykłego. Zjawił się przed nią w sposób romantyczny, i w kilku tygodniach wyrósł w opinii miasta powiatowego na bohatera. Był artystą, grał na estradzie koncert razem z córką starosty — podawał rękę śpiewaczce-amatorce, której matka rodziła się z książąt — wreszcie miał najpiękniejsze w całem mieście oczy i najgustowniej się ubierał!

Wszystko to wystarczało, aby w miasteczku powiatowem zabłyszczyć rolą pierwszorzędną i aby w oczach panien i młodych mężatek zostać bohaterem!

W każdej więc rozmowie mówiono o nim. W domu poczmistrzowej opowiadano o jego sukcesach u wód krajowych; pani aptekarzowa utrzymywała że jest podobny do Liszta a gra jak sam Servais — a jedna z pięciu starościanek nie taiła się z tem bynajmniej, że piękniejszego mężczyzny nad niego nie widziała! A gdy jeszcze powiatowy literat artykuł o koncercie do gazety napisał i w tym artykule mnóstwo rzeczy, o aksamitnych tonach, wypukłych akordach, brylantowej efazie i genijalności samego koncertanta nabajał—za co szampanem uraczonym został, nie było już żadnej pięknej mężatki w całem mieście, któraby u miejscowego fotografa nie szukała wizerunku sławnego człowieka do swego albumu.

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VII.

Gubernija Kowieńska.

(ciąg dalszy)

O milę od Kowna wznosi się wspaniała świątynia *Pożajska*. *Pożajście* należało do Paców. Z tych Krzysztof, kanclerz wielki litewski, z żoną Elżbietą z hrabiów de Maili wznieśli tu w r. 1662 piękny kościół i erem kamedułów. Trudno sobie wyobrazić jaki tu był przepych, bogactwo i gust estetyczny. Drogie marmury, zdobna rzeźba, piękne malowidła, znakomite talenta mistrzów włoskich złożyły się na utworzenie tego czarującego ustronia na wspaniałej górze. Tradycyja mówi, że Pac wyłożył na ten kościół, na tak zwane Forestarium, salę dużą zwaną Pacowską, wysoką wieżę na urwistym brzegu Niemna i inne budowle —8 beczek złota; księgi zaś rachunkowe domu Paców przekonywają, że całe to urządzenie kosztowało 8,000,000 złotych, oprócz majątku dużego Duszmiany i innych wsi przez Paca dla kamedułów zapisanych. Wypadki r. 1831 i podobno czynny udział mnichów w zaburzeniach — spowodowały zamknięcie eremu, a kościół na cerkiew przerobiono. Dziś w Pożajściu mieszka biskup wikary archidyecezyi prawosławnej wileńskiej. Tu także od lat kilku mieszka były arcybiskup miński Antoni Zubko.

---

prowincyjonalny, zrobił sobie chwilowy rozgłos w gronie żądnej skandalicznych wrażeń publiczności.

Zemsta to rzecz smutna, niekiedy nawet okropna. Przeminęły już czasy owych tytanicznych porywów, owych ponurych dziejów nieubłaganego odwetu, który dotąd ścigał ofiarę, póki reszty krwi z łona jej nie wysączył. Wszystko spowszedniało i w maluczkie przyoblekło się formy — zacząwszy od małego figielka, jakim młode pokolenie wynagradza psoty towarzyszów, aż do srogiej zemsty pokrzywdzonego literata lub artysty.

Wogóle społeczeństwo skarłowaciało, zbladła barwna niegdyś nić żywota. Jednym z głównych objawów tego upadku jest zgubna choroba *pesymizmu*. Ofiarą tego nizkiego nastroju dusz naszych jest w ostatnich czasach p. *Trombini*. Cóż bo komu szkodzić może, że artysta ten, nie znając polskiego języka, przyjął *dyrekcyją opery polskiej*. Niektórzy utrzymują, że wygląda to, jakby jaki Francuz przybył do nas w celu objęcia katedry naszej literatury ojczystej. My jednakże zupełnie nie podzielamy zdania tych panów. Bo proszę, czyż aby dyrygować operą krajową, potrzeba znać ducha kompozycyj naszych, odczuć myśl jego twórczości. Od czegoż są śpiewacy! Do dyrektora należy tylko wywijać należycie pałeczką, i za tak mozolną pracę słusznie należy mu się 4,000 rs. rocznej pensyi. Wprawdzie p. *Müncheimer* mniej trochę pobierał. Ale co p. Müncheimer, to p. Müncheimer, a co p. Trombini, to p. Trombini! Praca tem cięższa, czem mniej kompetencyj, a czem więcej pracy, tem więcej i wynagrodzenia... Czyż nie wspaniała zasada!... W każdym razie z niecierpliwością oczekujemy pierwszych tonów ojczystej pieśni pod kierownictwem zagranicznego mistrza. Radujcie się duchy Kurpińskich, Nideckich i Moniuszków!...

Trzy są wszechpotężne władczynie serc i kieszeni naszych: 1) *obczyzna*, 2) *reklama*, 3) *dobroczynna moda*. Gdzie przynajmniej jednej z nich nie ma, tam obojętność zimne ukazuje oblicze. Ot i teraz *koncert na podupadłych artystów* nie udał się zupełnie. Za mało było reklamy — tej łaskawej szafarki, otwierającej hojne kieski obywateli naszych. Cel, najszlachetniejszy nawet, jeżeli nie umie przemówić należycie do sentymentalnych uczuć serca lub pozyskać prawo obywatelstwa, usankcyjonowane dobroczynną dłonią mody, nie otrzyma bynajmniej poparcia. Licha to rzecz być podupadłym artystą. Bo też, łaskawi panowie, wydajemy tyle pieniędzy na niepodupadłych artystów, że na podupadłych już nam grosza nie staje. A społeczeństwo nasze uboższem jest od innych.

To też pod wielu względami nie dorównywa im w wszechstronnej doskonałości. Przedewszystkiem brak nam poszanowania praw cudzych. Zupełnie inaczej dzieje się za granicą. Tam bowiem każda sfera społeczna trzyma się wiernie chrześcijańskiej zasady: „Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło!“ Nawet ci, którzy hołdują systematowi praktycznego komunizmu, są skądinąd bardzo szlachetnymi ludźmi. Oto niedawno *w Londynie* na dworcu kolei *Paddington* kilku wiernych zwolenników szkoły *Prudh'ona*, pomnych zasady: „*La proprieté c'est la vole*,“ zręcznie

Nie tylko samo Kowno, ale i okolice jego przechowały ślady świątyń bałwochwalczych. Miejsca gdzie były te świątynie w okolicach Kowna są: wieś *Romany* o milę od Kowna, na północ od miasteczka Wilki; wieś *Romanka* przy ujściu Szeszuwy do Niewiaży, gdzie mieszkały litewskie kapłanki wajdelotki; i *Romajna* (Tyszkiewicza) na lewym brzegu Niewiaży o milę od Kowna; gdzie dziś wieś *Okajnia*, na pograniczu powiatów Kowieńskiego i Poniewieżskiego, gdzie miała być także świątynia i gdzie jakoby umarł ostatni Krewe-Krewejta Gintowt.

W Kownie niejednokrotnie znajdowano we framugach i ścianach zamurowane bożki pogańskie.

Do bardzo dawnych osad litewskich należą *Rumszyszki*, na wzniosłym brzegu Niemna pod górami otaczającemi łoże jego. Nieraz tu odbywały się krwawe utarczki z Krzyżakami. Wspominaliśmy już o ks. Narwojszu który z polecenia podskarbiego Antoniego Tyzenhauza, Niemen od zapor czyli raf przez trzy lata oczyszczał. Właśnie największa zapora była pod samemi Rumszyszkami z ogromnych głazów granitowych złożona, tamująca żeglugę statkami. I Narwojsz chociaż aż z Anglii nurków sprowadzał, nie zdołał jednak zupełnie skruszyć olbrzymiego głazu. O nim to mówi wielki poeta litewski:

„Ani się wzruszy skała w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta.“

Michał Baliński przytacza ciekawe podanie litewskie o Rumszyskim głazie. „Szatan chcąc się pomścić na jednym królu polskim, że sprzyjał Jezuitom najstraszniejszym piekła nieprzyjaciołom, urwał gdzieś za morzem kawał skały i leciał z nim, żeby jakiś wielki klasztor tego zakonu rozwalić. Lecz właśnie kiedy przelatywał nad Rumszyszkami, o północy kur zapiał, głaz wypadł z rąk dyjabła i zawalił rzekę.“

O małą milę od Kowna, niedaleko ujścia Niewiaży do Niemna, w czarownem położeniu także jest prastara osada litewska *Czerwony-Dwór*. I tu był zamek warowny i tu staczano krwawe boje z Krzyżakami. Dziś jest to jedna z najpiękniejszych majętności litewskich, własność Benedykta hr. Tyszkiewicza. Dziad dzisiejszego właściciela, przed niewielu laty zmarły, także Benedykt hr. Tyszkiewicz, odnowił opustoszały po pożarze pałac w pięknym stylu gotyckim i nader bogatą galeryją obrazów ozdobił. W Czerwonym-Dworze tenże hr. Tyszkiewicz wzniósł wspaniały pomnik małżonce swojej Wandzie z pięknego kararyjskiego marmuru, przez sławnego Pampeluniego we Florencyi wykonany. Pomnik ten miał kosztować 20 tys. dukatów.

Przechodzimy do samego wnętrza właściwej Żmudzi. Tu głównem miastem od najdawniejszych czasów było *Rosienie*, właściwie *Rosiejnie*, po litewsku *Rosejnej*, a u niemców *Ruschigen*, albo najczęściej *Rasseyne*. Rzeczka *Roś* albo *Rosieńka*, płynąca z południa na północ, w zwrocie swoim ku zachodowi tworzy po obu brzegach dwa przeciwległe pagórki, na których jest zbudowane miasto, podzielone korytem jej na dwie nierówne części. Rosienie miały istnieć już w pierwszej połowie VIII stulecia.

Że jest to najdawniejsza osada w tej ziemi nie ulega wątpliwości. Świadczą o tem i sypane kopce (kołnaje) i między niemi jeden najwyraźniejszy *Jawojszowski*. Były to albo mogiły, albo warowne nasypy, zawsze z odległej bardzo przeszłości. Na niezmiernej płaszczyźnie ku stronie Jurborka, od dawien dawna obozowała szlachta żmudzka, kiedy się zgromadzała na sejmy i narady lub dla popisów wojskowych.

Rosienie chociaż nie są położone nad samem morzem, bo w prostem kierunku o mil 12 od niego odległe; liczyć się wszakże mogą już do nadmorskich. Kraina zaś podległa temu miastu, raczej księciu który ją dzierżył, sięgała aż ku Baltykowi.

Ta właśnie okoliczność, t. j. że kraj ten jest wybrzeżem baltyckiem, jak również samo nazwanie. oraz inne badania i dociekania uczonych przyczyniły się do wielkiego rozgłosu Rośień w ostatnich czasach.

Kronika powiada, że Słowianie, Nowogrodzianie, Krywiczanie, Czud, Mera, Weś, wezwali do siebie na rządzców w wieku IX Ruryka, Sineusa i Truwora, *Waręgów-Rusów*, z pomorza baltyckiego.

To było powodem, że historycy przyjęli jako pewnik, iż pierwsi założyciele państwa ruskiego byli Skandynawowie.

Profesor Kostomarow pierwszy powstał przeciwko temu twierdzeniu. Wyraz *Waręg* jest skandynawski (Waering jar) i oznacza przysiężnego wojownika, albo przymierzeńca. Nazwę tę nosiły najemne tłuszcze będące niegdyś na służbie u cesarzów rzymskich, a potem bizantyjskich. Do Skandynawii przeszła ta nazwa zaledwo w XI wieku, w tem bowiem czasie wielu bardzo Normanów, zaciągając się do służby, *waręgami* nazywać się zaczęli i do swej ojcowizny wyraz ten zanieśli. Około roku 1040 spotykamy go już w legendach, czyli sagach skandynawskich. Ci tedy Waręgowie, t. j. najemnicy wojenni dali się poznać i Słowianom zachodnim i wkrótce wyrażenie *Waręgski* przyjęło obszerne znaczenie: w pojęciach ludu skoro chciano wyrazić znaczenie cudzoziemca, mówiono *Waręg*; kościół katolicki nazywano *Waręgskim* i t. d.

Nic więc dziwnego, że kronikarz XI wieku opowiadając o wypadkach IX wieku, mianowicie mówiąc o przywołaniu Ruryka, Sineusa i Truwora *Rusinów*, dodał wyraz *Waręgi*, sądząc, że ci jako cudzoziemcy pochodzić musieli ze Skandynawii.

Aż do XIII wieku wyraz Waręg miał to samo znaczenie, to jest oznaczał cudzoziemca, tak samo jak np. do dziś dnia u prostego ludu w Rosyi, każdy cudzoziemiec — jest *Niemiec*, a każdy mieszkaniec gór kaukazkich *Czerkies*. Południowi Rusini i dziś jeszcze przybywających do nich austryjackich poddanych, roznoszących po wsiach paciorki, pachnidła, krople Hofmana i t. p. nazywają *cesarczykami*. Są to *Słowaki*, *Słoweńcy*, *Rusini* nawet, ale południowy Rusin odróżnić ich nie umie, a chociaż mowę rozumie—*cesarczykiem* nazywa.

---

usunęło szkatułkę z brylantami pewnej bogatej damy. Nie sądźcie jednakże, aby panowie ci poprostu przyswoili sobie te drogocenności. Broń Boże! — nie pozwoliła im na to wrodzona szlachetność i duma synów Albijonu. Był to tylko mały figielek, za który zażądali listownie skromnego bardzo wynagrodzenia w ilości 200,000 franków, obiecując zwrócić w całości właścicielce przyswojone chwilowo skarby. Rozczulony tak szczytną bezinteresownością, mąż poszkodowanej damy, zaczął prowadzić listownie umowę ze szlachetnymi zdobywcami, i po długich wreszcie debatach odebrał brylanty, opłaciwszy sumę 8,000 f. szt. Widocznie jednak rząd angielski nie podzielał uczuć szanownego lorda, stosownie bowiem do surowości prawa, które zabrania dochodzenia w tym razie straty w drodze polubownej; wytoczył mu proces. Okrutnem jest zaiste prawo, które na tak drobne nawet figielki zwraca baczną uwagę. Mają więc zagraniczne grody tajemnice swoje, o których ani się śniło zaściankowi naszemu...

I Warszawie również nie brakuje tajemnic. W skromnem zaciszu żyją jeszcze stare obyczaje, a w *nizinach społecznych* tyle nieraz oryginalności i barwności, iż potrzeba tylko zręcznego pióra lub pędzla, aby stworzyć ciekawe nader obrazy. Owe tajemnicze życie grodu naszego podjął się skreślić p. *Edward Bukowski*. Oczekujemy z niecierpliwością tych ciekawych rzeczy. Oby bogowie natchnęli cię szanowny autorze i dały ci widzieć to, o czem pewne warstwy społeczeństwa naszego, zbyt słabe mają pojęcie.

Tajemniczość starych zabytków posiada wiele uroku. Ale nierównie powabniejsze są tajemnice duszy ludzkiej. Dziwne jednakże niekiedy figielki wyprawia ta hojna szafarka myśli. W chwilach kiedy w buntowniczym zapędzie ukaże nieprzyjazne oblicze córze swej *wrażliwości estetycznej*, zasługuje prawdziwie na uśmierzenie niesfornych wybryków rózeczką surowej nagany. Nie myślimy bynajmniej stosować tych słów do tajemnic estetycznych obywateli Lublina. *De gustibus non est disputandum!* Że dla tych panów *Halka* spowszedniała i nie przedstawia już żadnego uroku, to rzecz ich osobistego gustu. I nie dziwota! Cóżby powiedziała na to wykwintna „Perichola,“ lub urocza „Córka p. Angôt, gdyby do eleganckiego ich towarzystwa przyłączyć się miała prosta córa muzycznej liry naszej.

A teraz, łaskawi czytelnicy, pragnąc zastąpić starszych braci po piórze, którzy niepomni na ubiegłą niedawno tradycyją, nie przenoszą myśli waszej w urocze krainy wschodniego nieba, czerpiąc stamtąd oryginalne barwy życia i obyczajów, myślimy odbyć z wami małą peregrynacyją na łono młodzieńczej i uroczej natury Azyjatyckiej ziemi. W przeszłym felijetonie mówiliśmy dosyć o Japończykach. Teraz pogawędzimy trochę o władcach państwa Niebieskiego.

Śmierć bogdychana chińskiego *Toung-Tczi* okryła ciężką żałobą wiernych jego poddanych. Pierwszą oznaką wielkiej ich boleści są długie brody, których pod strachem surowej kary nie wolno zgładzać z powierzchni smutnego oblicza. Teatra i wszelkie widowiska zamknięte na trzy lata, póki duch *syna słońca*, nie osiedli się na dobre w krainie wiecz-

Nie ze Skandynawii więc przyszli Ruryk, Sineus i Truwor — powiada Kostomarow — ale z wybrzeża baltyckiego, z Rusi litewskiej, *ze Żmudzi, gdzie i do dziś dnia jest rzeczka* Roś, *jest miasto* Rosienie, *a na mapach jeszcze w XVIII wieku niziny Niemna nazywały się* Rosią.

Twierdzenia profesora Kostomarowa niepodajemy jako ostateczny pewnik historyczny, chociaż praca jego o pochodzeniu Rusi, publiczne odczyty i dysputy z profesorem Pogodinem, znalazły wiele współczucia i uznania, a zachwiały wiarę w tylowiekowe jednostronne twierdzenia historyczne, jakoby pierwsi założyciele państwa rusińskiego byli Skandynawowie.

Jeden z głębszych bezstronnych i sumiennych badaczów przeszłości słowiańskiej profesor Iłowajski również nie wierzy, ażeby Waręgowie byli założycielami państwa rusińskiego. Sądzi on że Rusini byli abogerynami tej ziemi, że wcale z za morza do siebie książąt nie wzywali. Kwasznin-Samaryn niepodzielający opinii Iłowajskiego, chętniej się zgadza z teoryją Kostomarowa, bo powiada: „można robić jakie bądź dowolne przypuszczenia; ale z *Rosieniami* na Żmudzi i rzeką *Rosią* nie damy sobie rady.“ (*)

Z historyków rosyjskich jeden tylko Pogodin uporczywie trzyma się dawnej teoryi, t. j. dowodzi zawsze, że owi książęta przyszli nie ze Żmudzi; ale ze Skandynawii.

Przyszłe badania zapewne lepiej tę kwestyją rozstrzygną. Bo też dziś głębsi myśliciele dalej idą; dziś powstaje nowa kwestyja do rozwiązania: czy nie był jeden i ten sam dom panujący książąt na Litwie i Rusi?

Ale wracajmy do Rosień. Mendog w r. 1254 nadał połowę Rosień pierwszemu biskupowi litewskiemu Chrystyjanowi. Następnie i Rosienie bezustannie ulegały napadom Krzyżackim i krwawym zajściom. Akta ziemskie rosieńskie, a w tej liczbie niemało przywilejów Witoldowych, aż do roku 1640 pisane językiem ruskim, a od tego roku po polsku, chociaż arynga urzędowa przy ich wprowadzeniu do akt pisała się po rusku. Od r. 1697 wszystko już w języku polskim zapisywano.

Miasto ma we władaniu 1811 dziesięcin ziemi. Domów liczą przeszło 500, z tych koło 70 pięknych murowanych Oprócz Żydów ludność składa się z samych Żmudzinów. Ogólna liczba ludności wynosi do 12 tysięcy. Rosienie jako miasto główne najbogatszego na Żmudzi powiatu, a nadto pograniczne z Prusami, prowadzi dość znaczny handel, przeważnie zbożowy i lnem.

d. c. n.

(*) Ob. A. H. Kirkora Odczyty publiczne o Lit. pobr. nar. Słow.

Człowiek kopalny.

Ślady prastarej metryki człowieka. — Podział warstw ziemnych. — Wykopaliska z epoki kamiennej. — Szczątki człowieka plioceniczego znalezione w Obozowisku Aniołów. —Kości z epoki diluwijalnej.— Słynna czaszka Neanderthalska. — Spór o nią między przyrodnikami. — Odkrycia poczynione w grocie Aurignac. — Jaskinia Cro-Magnon. Wiek rena. — Okazy pochodżące z grot Eyzies.— Mussat, Schussenried i Madelaine. — Skielet z Mentony. — Epoka kamienia gładzonego. — Kult tegoż kamienia. — Kjoekhen-moeddlingsy. — Ludożerstwo. —Torfowiska Danii.—Sosny, dęby i buki.-- Miasta nawodne. — Odkrycia Kellera w jeziorze Meilen. — Rasy. — Języki i mytologija. — Egipt. Starożytność piramid. — Epoka bronzu. — Co wiemy o Celtach. — Palenie zwłok ludzkich. —Skielety Inflandzkie. — Epoka żelaza. — Tradycyje historyczne. — Grobowiska Halstadtu. — Rzut oka wstecz. — Obyczaje ludów pierwotnych. — Zawiązek instytucyi małżeństwa. — Chronologija geologiczna. — Słówko w sprawie przeszłości naszych praojców. — Cyfry pozostawione do zsumowania czytelnikowi.

(ciąg dalszy.)

Typem pokoleni żyjących w epoce kamienia gładzonego jest siedm czaszek znalezionych w Borreby. Objętość ich przewyższa wymiany właściwe czaszkom Japończyków. Czoło w czaszkach z Borreby jest niskie chociaż mocno wygięte.

Przemysł w tej epoce był wielce rozwinięty, dowodem tego liczne narzędzia krzemienne znalezione w niższych pokładach torfowisk, należących do tegoż okresu co kjoekhen moeddingsy. Oznaczamy tą nazwą miejscową wzgórza nadbrzeżne wysp Danii, rozciągające się niekiedy na długość 1040 stóp mające 156—242 stóp szerokości, a $3^{1}/_{2}$ — $10^{1}/_{2}$ stóp wysokości. W głębi tych wzgórzy znaleziono mnóstwo skorup mięczaków, szczątków śledzi; dorszy i innych ryb, wraz z narzędziami krzemiennemi posługującemi do ich połowu. Ludność pierwotna Danii trudniła się widocznie rybołówstwem. Kości psa dowodzą że to zwierzę było już udomowionem, równie jak wół, obok którego napotykamy w kjoekhen—moeddingsach — kości bobra i ptaków, a głównie pingwinów.

W torfowiskach Danii, każda stopa sześcienna ziemi składa świadectwo bytu człowieka przedhistorycznego. W torfach tych znajdujemy widoczne następstwo roślinności leśnej. Głębie ich zajmują sosny kilku wiekowe, chociaż to drzewo dziś już wcale nie rośnie w Danii i żadna legenda nie podaje aby kiedykolwiek istniało. Sosny więc znikły ustępując miejsca dębom karłowatym, cztery stóp w średnicy mającym—drzew tych również nie ma dziś prawie śladu na półwyspie Jutlandzkim. W pokładzie górnym torfów napotykamy dęby zwane szypułkowemi (Quercus pedunculata) z brzozą sękowatą, leszczyną i olszyną. Dziś w Danii znajdujemy tylko lasy bukowe, chociaż buków brak całkiem w torfowiskach. A jednak powiada Steeusteup: za czasów Rzymian wyspy Duńskie były zarosłe równie jak obecnie przepysznemi lasami bukowemi. Osiemnaście wieków nie wywarło więc żadnego wpływu na roślinność tychlasów. Ileż to czasu musiało upłynąć zanim sosna ustąpiła miejscą dębom, a te bukom.

Do wytworzenia się pokładu torfu grubego na 10 stóp, potrzeba według Büchnera przynajmniej upływu dwunastu lub szesnastu tysięcy lat — owóż grubość torfowisk duńskich dochodzi czterdziestu stóp, wytwór ich zatem wymagałby czasu odpowiadającego 48000 lub 64000 latom. Wyroby kamienne w kjoekhen

---

ności. Wszystkie miejsca urzędowe pozamykane, nawet funkcyja wymiaru sprawiedliwości na pewien czas wstrzymana. Oznaką ciężkiej żałoby jest kolor biały, słabszej—niebieski. Nie będziemy tu opisywali samej uroczystości pogrzebu. Umysł nasz za słaby, a pióro zbyt niedołężne, aby odtworzyć wspaniałość przepysznego orszaku.

Już to wszędzie natura ludzka jest jednaką. Jedne i też same wady występują na widowni indywidualnego i społecznego życia. Zabójcza dłoń zbytku tego nieodrodnego syna naszego wieku, sięga nawet do dziewiczej krainy Wschodu. W innej tylko przestawia się tam formie. My, ulegając słabostkom powszedniego życia, tracimy hojne dary fortuny na różne przyjemności doczesnej egzystencyi. Tymczasem myśl synów Chińskiej krainy kuwzniośleljszemu dąży celowi. Pogardzając marnościami świata tego, podąża na łono wieczności. Każdy Chińczyk gotów odmówić sobie najniezbędniejszych potrzeb życia, aby tylko z należytym szykiem i wspaniałością udać się przed oblicze wielkiego Stwórcy. To też pogrzeb w krainie Cesarstwa Niebieskiego jest rzeczą najkosztowniejszą i najbardziej rujnującą. Najpospolitszy nędzarz wspanialej podąża tam w objęcia zimnej mogiły, niż szczęśliwy dosyć ulubieniec fortuny w naszych ucywilizowanych społeczeństwach.

Ale *a propos* śmierci i pogrzebów. Jeden z korespondentów naszych, przestraszył się okropnie wypadkiem ocknięcia się nieszczęśliwej ofiary w objęciach trumny, kiedy już zimną miano ją przysypać ziemią. Słusznie powiada opisując ten fakt, autor felijetonu w Tyg. Rom. i Powieści, że w obec niego „blednieje groza czasów starożytnych.“ Otóż szan. korespondent uprasza nas, abyśmy zwrócili uwagę ogółu na niewłaściwość zbyt wczesnego chowania umarłych. W samej rzeczy, skoro sobie wspomnimy, że i nas podobna dola spotkać może brrr...aż mrowia przechodzą po kościach. U nas jednakże nie słyszeliśmy prawie o podobnych wypadkach. Snać łaskawa śmierć, skoro pochwycił kogo w objęcia, nie puszcza już biednej ofiary.

Jak w sferze życia fizycznego śmierć wrogim jest żywiołem, tak w sferze moralnego i umysłowego rozwoju najnieprzyjaźniejszą potęgą jest blade oblicze starego przesądu. Oto mamy fakt świeży i autentyczny.

Do przyzwoitego bardzo domu żydowskiego żądano nauczycielki. Zjawiła się niebawem młoda kandydatka, nie wiedząc że przyszła jej chlebodawczyni należy do wzgardzonej semickiej rzeszy. A panienka ta, snać pomna na błogie czasy szczęśliwszej przeszłości, chciała z góry pokazać pani domu, że nie byle kogo będzie miała zaszczyt posiadać w gronie domowników swoich.

— Bo trzeba pani wiedzieć, że tylko nieszczęśliwe okoliczności zmusiły mnie do tak upokarzającego zajęcia—tłómaczyła się dumnie pracodawczyni.—Gdyby wstała z grobu ciotka moja—hrabina X. zapewne drugi raz by umarła! (niewątpliwie!), widząc mnie w tak smutnem położeniu.

— Trudno łaskawa pani—przerwała gospodyni — trzeba się zgadzać z okolicznościami. Zresztą żadna praca nie hańbi, a co się tyczy drażliwego położenia, może pani być pewną,

moeddingsach, należących do epoki w której wytwarzały się pierwsze pokłady torfu, odznaczają się zadziwiającym artyzmem. Żelazca włóczni są istnemi arcydziełami gustu i cierpliwości. Płaskie wyrębiane po brzegach, przyjmują w części służącej do osadzenia w drzewcu postać liści wawrzynu. W dolmenach czyli tak zwanych budowlach megalitycznych znaleziono wiele skieletów ludzkich, z których żaden nie przedstawiał postawy naturalnej, lecz był grzebany zgięty w kuczki. W podobnem położeniu chowano ciała w grocie Aurignac.

Do najciekawszych odkryć archeologii należą bezwątpienia *miasta nawodne*.

Było to w Szwajcaryi w czasie zimy z 1853/4 roku. Jezioro Zurichskie cofnęło swe wody pozostawiając znaczną przestrzeń gruntu który mieszkańcy miasta Meilen zamierzyli zająć w posiadanie. Wówczas to odkryto w głębokości 2⅓ stóp pod mułem warstwę gliny na czarno zabarwionej, w skutek znacznej ilości materyj organicznych jakie zawierała. W glinie tej wbite były zmurszałe przegniłe pale; znaleziono w niej również narzędzia krzemienne, z ości i z rogu wyrabiane, naczynia nie kształtne z gliny palonej, sprzączkę bronzową, i czaszkę ludzką. Doktór Keller od jednego rzutu oka ocenił doniosłość tego odkrycia—dopatrzył pewien węzeł między palami które w wielu miejscowościach rozdzierały sieci rybackie, a szczątkami około nich nagromadzonemi. Według jego opinii lud, któremu były prawie nieznane metale zbudował tu miasta na palach w jezioro w bitych. Keller wnioskował stąd że ślady podobnych miast istnieć muszą we wszystkich jeziorach Szwajcaryi. Przewidywania jego potwierdzone zostały najzupełniej. Nie tylko w jeziorach Helwecyi, ale we Włoszech, Niemczech, Francyi, Polsce znaleziono szczątki budowli nawodnych. Dziś miasta nawodne są tak liczne, że niepodobna dokładnie skreślić ich liczby ciągle zwiększającej się. Miasta nawodne Szwajcaryi należą do końca epoki kamienia gładzonego, niektóre z nich przecież odnoszą się do okresu późniejszego. Miasta pobudowane ongi na jeziorach: Konstancyjeńskiem, Moosseedorf, Wauwyl, Meilen, Robenhausen, Wangen, należą do epoki najstarożytniejszej.

Budowle jeziorne rozciągały się niekiedy na wielką przestrzeń; rozległość naprzykład stacyi Morges na jeziorze Genewskiem wynosiła przeszło 7 mil. Wieś Wangen na jeziorze Konstancyjeńskiem zbudowaną była przynajmniej na 40,000 palach według obliczenia Lohlego.

W głębi torfowisk helweckich znajdujemy pokład wapienia wytworzony z muszli zwany *białem łożyskiem*. W tem to łożysku tkwią pale, mające niekiedy długości 10 stóp jak to naprzykład ma miejsce w Wauwyl, a obok nich mieszczą się szczątki jestestw i narzędzia ludności która tu niegdyś się rozsiadła.

W budownictwie tem stawiano na palach drewnianych pomosty, łącząc spojenia gliną. Badania Desora i Vogta uwidoczniły że budowle palowe były głównie magazynami żywności i miejscami spoczynku ludów pierwotnych. Wybierano ten sposób życia dla zabezpieczenia się od napadów zwierząt dzikich i nieprzyjaciół. Wiele miast nawodnych zgorzało, a szczątki w mule wodnym przechowane mówią nam czem się żywiły te pokolenia przedhistoryczne. Zresztą niektóre z budowli jeziornych przetrwały aż do wieku bronzowego, a nawet żelaznego. Herodot podaje wiadomość o peonianach, pokoleniu Trackiem, zamieszkującem jezioro Prasias, którzy w czasie najścia Persów zachowali swą niepodległość, dzięki swym budowlom palowym.

W Meilen, Moosseedorf, Wangen, znaleziono sieci rybackie, tudzież doskonale przechowane ziarna pszenicy, jęczmienia, wskazujące pewien rozwój rolnictwa. Ludy wszakże z epoki kamiennej nie znały młynów, ziarna miażdżono między kamieniami zaokrąglonemi. Prawdopodobnie ziarna zbożowe najpierw palono, potem tarto, zarabiano w naczyniach z wodą i spożywano. Sposobu tego używają dotąd mieszkańcy wysp Karolińskich. Ze szczątków zwierząt napotykamy tu wołu pierwotnego, barana z rogami koźlęcemi, żubra, dzika i psa już udomowionego. Życie towarzyskie poczęte w miastach rozwinie się następnie, ludność ich przetworzy się w naród.

Koniec wieku kamienia gładzonego, jest pod każdym względem stanowczym dla ludzkości.

Dyssemi zajmowali Azyją Mniejszą i północną Afrykę — rasa aryjska oddawna osiedliła się w łonie ludności szerokogłowej. Rasa australska a następnie Papuasów odrzucona przez typ szerokogłowy, zajęła w posiadanie wyspy Oceanii, w czasie gdy te tworzyły się jeszcze ląd stały. Z kolei Malajczycy, którzy być może pochodzą od najstarożytniejszych ludów szerokogłowych, rozpleniły się na południe. W Afryce widocznie odróżniały się trzy rasy: Akkasy, Murzyni z Gwinei i Kongo i Hotentoci. Rasy te z wyjątkiem murzyńskiej wyparte następnie zostały przez Kafrów.

Przyrost ludności wywierał bezwątpienia wielki wpływ na postęp. Z rozwojem języka umysł ludzki rozwijał się, jakkolwiek ciążyła na nim potężnie mytologija. Historyja całej filozofii od Thalesa do Hegla, jest nieprzerwaną walką myśli z mytologiją: protestem przeciw tyranii i niedostateczności języka. Pierwsze słowa utworzone zostały dla wyrażenia myśli najprostszych; w miarę rozwijania się pojęć mowa przechodziła od przedmiotów konkretnych do abstraktów. Każde wyrażenie stawało się figurą, każdy przedmiot rodzajem osobistości, każde zjawisko w naturze legendą, alegoryją. W ten sposób powstały myty.

Z czasem pierwiastki słów uległy zmianom, myty pozostały ale ich znaczenie zatarło się. Pierwsze ślady mytologii prawdopodobnie już się przejawiły przed końcem epoki kamienia gładzonego.

Ze wzrostem potrzeb życia społecznego, powstawać zaczęły imiona nadawane dzieciom przez ojców, czerpnięte z przedmiotów otaczających najbliżej człowieka z roślin lub zwierząt. Zwyczaj ten istnieje jeszcze dziś u dzikich pokoleń. Tu szukać należy początku kultu zwierząt tyle rozpowszechnionego między Egipcyjanami. Ze wszech narodów dzieje Egipcyjan sięgają epoki najodleglejszej. Gdy ziemia cała

---

że postaramy się niczem nie obrazić jej godności osobistej.

— To też jedno mnie pociesza, że trafiłam, zdaje się, do dobrego domu. Ale, niech pani sobie wyobrazi, ta niegodziwa właścicielka kantoru stręczyła mi miejsce *u żydów*. Do takiego poniżenia chyba już nigdy nie przyjdę. Co by na to powiedziała familija moja! Żeby jeszcze u *niemców* — prędzejbym się zdecydowała. Ale u żydów—broń mnie Chryste Panie!

I w tej chwili na potwierdzenie prawdziwości słów swoich, szanowna nieprzyjaciołka żydowszczyzny wezwała na świadectwo całą litaniję świętych pańskich.

— A to dla czego, łaskawa pani? — przerwała zachowując *incognito*, niewiasta z potępionego pokolenia.

— I pani pytasz jeszcze, dla czego! Jażbym miała krzątać się koło *żydowskich bachorów*. Cóż może być bardziej poniżającego, jak służyć żydom!...

Widząc, że żadne dowody nie trafiłyby do przekonania światłej dziewicy, urażona chlebodawczyni pożegnała ją, obiecując donieść o rezultacie umowy. Wyobrażacie sobie zapewne zdziwienie szanownej kandydatki, skoro się, dowiedziała że ledwie nie popadła w paszczę żydowszczyzny i że gromy z jej ust nie padły na bezpłodną niwę. Zaiste, winszujemy szczęśliwego uniknienia wiekuistej zaguby poczciwej owieczce, i życzymy jej z całego serca, aby zawsze omijała zdala zaraźliwe stado. O czcigodna, czysta i niepokalana dziewico, godną jesteś zaiste aby złożyć na twej skroni zielony wieniec dojrzałości moralnej i umysłowej!

A teraz jeszcze jedno ostatnie na dziś słówko. Panowie literaci warszawscy, przebaczcie, jeżeli kiedyś niegodny brat rzucił na was niesłuszne gromy. Wyście święci, jak duchy niewinności, czyści i niepokalani, jak serduszka niewiast nadwiślańskich, a cisi i pokorni, jak baranki. A wiecie kiedy dopiero stanęły przed oczyma mojemi te wielkie przymioty wasze. Oto w chwili, kiedy przejrzałem znalezioną przypadkiem *polemikę prasy galicyjskiej*. Słuchajcie i podziwiajcie, jakie to szlachetni synowie *Galilei* palą sobie komplementa. Oto pewien oszkalowany dyrektor teatru w ten sposób odzywa się do złośliwego redaktora: „Wszystkie Pańskie oszczerstwa, na mnie pośrednio czy bezpośrednio rzucane, odrzucam Panu w twarz i oświadczam, że jesteś kłamcą, potwarcą, a zatem podłym nikczemnikiem! A teraz radzę Panu dopilnować swojego mecenasa, ażeby wniósł na czas akt oskarżenia na mnie.“ Przytoczywszy te wykwintne słowa, jeszcze raz zawołam głosem wielkim: „Precz z potwarzami, myśmy święci w obec.... Galilei, ale nie w obec *prawdy bezwzględnej!*...

pogrążoną była w ciemnościach barbarzyństwa, gdy ludy które później odegrały tak ważną rolę w sprawach świata pozostawały w stanie dzikości, brzegi Nilu występują przed nami jako karmicielki ludu rozumnego i wykształconego. Potężna monarchija wsparta na groźnej organizacyi rządu, reguluje już los narodu.

Początek pierwszej dynastyi sięga 5833 lat przed Chrystusem — dwunastej dynastyi 3503 lat—dwudziestej 1382 przed Chrystusem.

John Herschell zaznacza że sześć z piramid Gizeh i Abusseir miały wejście zwrócone w ten sposób na gwiazdę biegunową, że z głębi jego można ją było całą widzieć. Owóż według niego, przynajmniej od 5023 lat jak ta gwiazda przestała zajmować przy biegunie miejsce, odpowiednio do którego wykuto wejście do piramidy. Widzimy stąd że chronologija naznaczająca budowę piramidy w XI wieku przed Chrystusem jest błędną.

Oppert też przyjmuje że piramidy pobudowano na 5000 lat przed Chrystusem.

Z cyfr tych powziąść możemy wyobrażenie, jak odległą jest od nas epoka kamienia gładzonego. Nadmieniamy że data wynalezienia bronzu równie jak żelaza pozostała nieznaną Egipcyjanom. Cóż powiemy o tradycyjach egipskich sięgających 30778 lat, a tem samem dochodzących prawie epoki rena. Jeżeli Egipt już na 5800 lat przed Chrystusem przedstawia się państwem ucywilizowanem, jasną jest rzeczą, że stopniowo nabywał kultury—że barbarzyńskie dzieje tego ludu sięgają przedhistorycznej epoki.

Wszelkie nauki, instytucyje jakie posiadamy, pochodzą z Egiptu. Na tej ziemi przejawił się genijusz ludzki pod najrozmaitszemi postaciami. Z jej łona wyszli żydzi jako naród. Grecyja z niej czerpała swoje instytucyje. Aleksander i Cezar, Antonijusz i Oktawijusz tu rozszerzali swe panowanie. Platonizm łączył się tu z judaizmem. Od Jezusa Chrystusa do Napoleona wszyscy wielcy ludzie wstępowali na tę ziemię cywilizacyjną. Przechodzimy do epoki metalów. *(d. n.)*

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

— Tak Senorito.

— Brawo! mów pan dalej. Będę odpowiadać z całą szczerością.

— A więc Senoro! oto co się naprzód zapytam: Co to za Cyprio na którego pani czekasz?...

— Cyprio, no a jakże pan o tem myślisz... Cyprio to mój służący, którego wysłałam do pana. Do czegoż prowadzą podobne zapytania?...

— Więc to pani do mnie wysłała...

— Naturalnie. Ale patrz pan otóż i on w swojej własnej osobie...

— Hola! Cyprio możesz wrócić do domu. Kapitanie musiałeś szybko jechać bo nie czekałam na cię dłużej jak małe pół godziny. Jużto wy żołnierze nie lubicie przewlekać... Tem lepiej i do rzeczy, bo czas leci a ja mam dużo do powiedzenia.

— Wyjaśniły się więc rzeczy nareszcie.

To Cypria minąłem w lesie. Ten chłopak miał polecenie i dlatego za mną wołał.

Minęła niepewność w sercu, uczułem wzruszenie pomieszane z radosną dumą.

Isolina niewiedziała jeszcze żem tu przybył bez wezwania, Cyprio na rozkaz swej pani oddalił się nie powiedziawszy ani słowa—a moje zjawienie się nagłe w tem miejscu, było jeszcze nie wyjaśnione.

Chciałem wytłomaczyć się pięknej Meksykance i przeprosić ją za niegrzeczne znalezienie się — ale nagliła mnie do wyznania jakie jej obiecałem.

Wyznanie to było bardzo proste, potrzebowało tylko trzech małych słówek, w jednym z dwu języków w jakich mogliśmy z sobą rozmawiać.

Ten który wybrałem najlepiej odpowiada rozkochanemu sercu, pochyliwszy się zatem nad prześliczną twarzyczkę i patrząc w jej duże pytające oczki, wyszeptałem to słodkie chociaż tak często powtarzane „*Y o te amo*"

Drżały mi usta ale ton jakim wymówiłem te słowa świadczył o mojej szczerości, którą zapewne silniej jeszcze zaznaczyło poważne oczekiwanie na odpowiedź.

Z usteczek Isoliny znikł zwykły przecudny uśmiech, na buzię wystąpił rumieniec, frędzla rzęs zasłoniła błyszczące spojrzenie, twarzyczka tego rozkosznego dziecka przybrała na raz poważną minę kobiety.

Z razu przeląkłem się tego i z trudnością opanowałem obawę, ale powziąłem niejaką nadzieję widząc różowe jej policzki i przyspieszony oddech.

Nastała długa chwila milczenia która zdawała mi się wiekiem.

Senor odezwała się nakoniec i pierwszy raz posłyszałem że drżał jej głosik — Senor — przyrzekłeś mi być otwartym byłeś nim, ale czy równie jesteś szczerym?..

Co powiedziałem — powiedziałem z głębi duszy.

Rzęsy które chowało mi jej spojrzenie uniosły się a płomień miłości błysnął w jasnem spojrzeniu, napełniając serce moje cudownem balsamem. Niebo samo nie mogło by mi napełnić piersi jaśniejszym i więcej ożywczym promieniem.

Niebawem też uśmiech powrócił na te ruchliwe rysy.

— A powiedz mi proszę cię kapitanie co chciałbyś abym zrobiła.

Zmieszałem się i nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— Niechciałbyś przypadkiem żebym ci wyznała że i ja kocham Cię także?..

— Oh pani! tego nie możesz pani..

— To pytanie któregoś mi pan nie zadał.

— Nie pani bo się zanadto lękam odpowiedzi.

— Oh! jakże pan stałeś się skromnym od niedawna. Szkoda że nie mam maski, może zapuścić woal.

Nie wiedziałem co mówić, siedziałem też milczący na siodle z oczami utkwionemi w ziemię.

Smiech Isoliny dźwięczał mi czas jakiś w uszach szyderczo, lub tak mi się przynajmniej zdawało, ale znowu słodycz jej głosu napełniała mnie rozkoszą.

Nagle usłyszałem tentent konia podniosłem oczy i zobaczyłem że Isolina się oddala.

Pogalopowała ku środkowi polanki na większe nieco wzniesienie i zatrzymała się znowu..

Zatem — panie — zawołała dając mi znak śliczną rączką...

Machinalnie postąpiłem na wskazane miejsce.

— Aj! mężny kapitanie! pan co masz dosyć odwagi do zaczepienia dwudziestu na swoję rękę nieprzyjaciół, nie masz odwagi zapytać kobiety czy cię kocha czy nie?..

Smutny mój uśmiech był jedyną odpowiedzią na to szczebiotanie.

— Kapitanie prawiła dalej nie mogę w to wierzyć. Już nie raz przedtem robiłeś pan zapewne pytanie które cię dzisiaj tak bardzo przestrasza. Robiłeś pan to dosyć często, boję się nawet czy nie za często może...

Patrzyłem na nią ze zdziwieniem. W głosie jej przebijało się trochę goryczy, uśmiech zniknął, opuściła oczki ku ziemi.

— Senorito powiedziałem, przypuszczenie to uzasadnione czy nie—nie może panią obchodzić.

Odpowiedziała uśmiechem w którym widniało trochę smutku.

— Nie można cofnąć się w przeszłość, odpowiedziała przerywając mi moje słowa... Tak to niepodobieństwo. Ale... powtórz mi pan... tak, powtórz pan jeszcze, że mnie kochasz!

— Że panią kocham? O! tak, z całej duszy...

— I że ja wyłącznie posiadam pańskie serce!

— Czyż mógłbym kochać inną?..

— Dziękuję.. dziękuję!

— Czy tylko podziękowanie masz pani dla mnie — Isolino?

Przez chwilę milczała, odwróciła się i zdawała się walczyć z pewnem wzruszeniem.

— Będzie coś więcej jak podziękowanie odpowiedziała nakoniec — bo wdzięczność i jeszcze trzy inne rzeczy jeżeli.. się przydadzą... na dowód mojej wdzięczności.

— Cóż to za trzy rzeczy?..

— Przyrzekłam być otwartą. Ja także przybyłam tutaj dla pewnego wyznania. Słuchaj pan trzy rzeczy powiedziałam... Obejrzyj się pan na około... Ziemia którą widzisz do mnie należy, niech będzie twoją jeżeli zechcesz...

— Isolino — co?..

— I o to co jeszcze mogę panu ofiarować?.

To mówiąc wyciągnęła maleńką rączkę którą uścisnąłem z zapałem.

— Jeszcze, jeszcze rzecz ostatnia.

— Trzeciej rzeczy po głębszym namyśle nie mogę ci ofiarować, bo już posiadasz ją od dawna.

— Cóż to takiego?..

— Moje serce!..

Nasze przepyszne rumaki zdawały się przenikać to co się mówiło, bo zbliżały się ku sobie po trochu co raz bliżej aż dopóki się nie

utknęły nozdrzami tak że zabrzęczały stalowe wędzidła.

Przy ostatnich słowach Isoliny znaleźli się obok siebie i widocznie robiło im to przyjemność, a tymczasem prześliczna kobieta i szczęśliwy jeździec, zbliżyli się jedno ku drugiemu a usta ich spotkały się w długim, gorącym pocałunku.

ROZDZIAŁ XLVI.

Zbłąkany.

Rozstaliśmy się bo nie wypadało aby nas razem spotkano. Isolina oddaliła się pierwsza pozostawiając mnie na polance.

Pożegnaliśmy się słodkiem do widzenia — do jutra!!

Nazajutrz mieliśmy się więc zobaczyć—nazajutrz i dni następnych mieliśmy się spotykać tu, w tem rozkosznem miejscu aby powtórzyć sobie przysięgę wierności.

Nie miałem odwagi usunąć się z miejsca tak drogiego dla mnie obecnie.

Chaos tryumfującego uczucia uspokoił się, zastąpiło go uczucie spokojnego zadowolenia.

Spełniły się najgorętsze życzenia serca...

Nie ma bodaj większego szczęścia nad miłość odpłaconą wzajemnością... ona tylko może nam dać przedsmak przyszłego życia, ona tylko może nam dać pojęcie o pożyciu aniołów w niebie.

Świat zewnętrzny harmonizował z mojem usposobieniem wewnętrznem. Wszystko do okoła przedstawiało mi się w barwach różowych. Kolor kwiatów zdawał mi się daleko żywszym, zapach silniejszym i bardziej orzeźwiającym. Brzęczenie pszczół pobudzało do dumań, a nad szczebioty ptaków w tej chwili nie wiem czym słyszał kiedy sympatyczniejsze melodyje.

Radbym pozostać na zawsze w miejscu w którem zasłyszałem rozkoszne wyznanie i pożegnanie *„do jutra“* ale wzywały obowiązki i musiałem być im posłusznym.

Zachodzące słońce rzucało na step w tej chwili jaskrawe swoje promienie, zawróciłem konia w stronę pagórka i zapuściłem się w gęstwinę drzew.

Zajęty swojem szczęściem nie zwracałem na nic uwagi.

Gdybym się był zdał na konia, byłbym najlepiej zapewne zrobił, ale zadumany pociągnąłem machinalnie cugle i zwróciłem go z dobrej drogi.

Jak to tam zresztą się stało mniejsza, dosyć że po niejakim czasie znalazłem się w pośrodku gęstego lasu, bez żadnego śladu drogi, tak że nie mogłem pomiarkować w jakim znajduje się kierunku.

Więcej powiem, nie miałem pojęcia w którą mi stronę wziąść się należy — bo inaczej już oddawna powinienem był zbliżyć się do wioski.

Zawróciłem Mora i jechałem czas jeszcze jakiś na chybił trafił, ale gdy nie dopatrzyłem się najmniejszej choćby dróżyny, zwróciłem się w inną znowu stronę, bez lepszego jednak skutku.

Na płaszczyznie porosłej lasem nie mogłem znaleść wyjścia, bo widok ze wszystkich stron zasłonięty miałem zupełnie.

Zbłądziłem znowu na dobre...

Gdyby nie to że się zmrok zbliżał nie wiele bym był robił sobie z tego, ale słońce już zaszło i na nadejście nocy nie długo czekać potrzeba. Kto wie czy nie będę zmuszony przepędzić jej w lesie — a choć w ciszy samotnej dobrze jest oddawać się słodkim marzeniom, grzeszne jednak ciało domaga się praw swoich — a o głodzie nawet miłość nie koniecznie jest ponętną.

Położenie więc moje obecne nie osobliwie mi się przedstawiało; za głodno do pogrążenia się w marzeniach, za chłodno do drzemki a jeszcze na domiar złego zaczynał padać deszcz dużemi gęstemi kroplami.

Po nowem bezowocnem usiłowaniu wydostania się na drogę, zatrzymałem konia i zacząłem się przysłuchiwać.

Nie zrobiłem nic oczami — postanowiłem sprobować czy uszy nie posłużą mi lepiej.

W tej chwili posłyszałem strzał karabinowy, o jakie sto stóp odległości od siebie.

Przypomniawszy sobie że się znajduję na ziemi nieprzyjacielskiej, mogłem się postraszyć tem wypadkiem, ale suchy huk wystrzału pozwolił mi przypuszczać że wypalono ze zwyczajnej broni myśliwskiej, jakiej Meksykanie używali w ogóle.

Nadto po strzale posłyszałem szelest, jakby spadnięcie z wysokości jakiegoś ciężkiego ciała, a że sam strzelcem jestem odgadłem iżto ptak jakiś dziki, spadał postrzelony z drzewa na ziemię.

Człowiek co strzelił był Amerykaninem; było bowiem trzech czy czterech szeregowców, posiadających podobne karabiny — a chociaż broń to była zupełnie inna od tej jakiej używano w oddziale, tę osobliwą fantazyją wybaczano przecież leśnym wyjadaczom jak ich pospolicie nazywano. Prawdopodobnie był to jeden z tych ludzi.

Bez namysłu skierowałem konia w tę stronę, pędziłem co sił starczyło pomiędzy zarośłami.

Pędziłem tak przez kilka minut, nie zatrzymując się ani na chwilę, i widocznie musiałem minąć miejsce z którego strzelono, nie zobaczyłem jednak nikogo.

Dopiero kiedy cofnęłem się w tył trochę, głos dobrze znajomy posłyszałem tuż za mną: „Na wielkie trzęsienie doliny Józefata, toż to mój młody przyjaciel kapitan!“

Obróciłem się i zobaczyłem starych moich towarzyszy traperów wychodzących z po za krzaków — za któremi się ukryli posłyszawszy tentent konia.

Rube dźwigał na ramieniu ogromnego koguta indyjskiego, a na grzbiecie Gareja wisiały połcie daniela.

— Zaopatrzyliście się widzę dobrze, powiedziałem skoro się do mnie zbliżyli.

— Tak kapitanie, odrzekł Garej, żywności nam nie zabraknie. Twoi szeregowcy, musimy przyznać, chętnie by podzielili się z nami, ale pan wiesz że obiecaliśmy pamiętać sami o sobie, słowa więc dotrzymać należy.

— Tak, tak — mruknął Rube, szczerzy i wolni górale, nie chcemy objadać nikogo.

— A z resztą kapitanie, prawił Garej, kuchnia twoich żołnierzy nie wygląda na bardzo obficie zaopatrzoną. Jeżeli więc raczysz przyjąć ptaka i kawałek daniela, prosimy oto sercem całem — dla nas zostanie i tak dosyć...

— Co Rube, czy źle mówię, odezwijże się stary mulacie?

— Ba i jak jeszcze — wyśmienicie — odpowiedział lakonicznie zapytany.

Zgodziłem się na przyjęcie poczęstunku strzelców, bo prawdę rzekłszy w oberży wioskowej nie bardzo było w czem przebierać i puściliśmy się trzej teraz już w drogę.

Rzecz prosta, że mając takich ludzi za przewodników miałem się wkrótce znaleść na dobrej drodze, bo oni także wracali do kwatery.

W lesie byli od południa, a konie pozostawili w wiosce.

Nakręciwszy się z jakie pół mili pomiędzy drzewami, wyszliśmy na ścieżkę nadzwyczajnie wązką, a moi towarzysze nie bardzo obznajmieni z miejscowością, znaleźli się tak jak i ja w kłopocie i nie wiedzieli w jakim udać się dalej kierunku.

Ciemno było jak w kominie, błyskało się tylko czasami, a deszcz lał jak z cebra, i przemokliśmy już do kości.

Na całem sklepieniu niebieskiem, pokrytem czarnemi chmurami, ani jednej nie było gwiazdki.

W chwili kiedy znowu zabłysło zobaczyłem Ruba pochylonego nad ziemią i zdawało mi się że badał jakiś ślad. Począłem się i ja przyglądać i rozpoznałem głębokie i szerokie ślady wyryte widocznie kołami karety.

— Tak to tędy! zawołał Rube podnosząc się nagle i puścił się na przedzie.

— Jakim sposobem upewniłeś się o tem zapytałem ciekawie?...

— Widzisz mój mały przyjacielu te oto znaki są znakami wózka meksykańskiego o dwu kołach. Ale tutaj masz oto cztery koleje widocznie więc powracano tą samą drogą, bo ślad zupełnie jest jeden i ten sam. Toć przecie ten kto jechał, jechał do jakiegoś zamieszkałego miejsca.

— Ale z czegoż możesz wnosić że drugi ślad oznacza drogę powrotną?...

— Taką rzecz poznać równie łatwo jak wypić szklankę wina. Ślad powtórny jest późniejszy o parę godzin.

Szedłem podziwiając w myśli szczególniejszą przytomność mojego przewodnika.

Niezadługo usłyszałem znowu głos Ruba który nas wyprzedził o kilka kroków.

d. c. n.

MŁODOŚĆ ATEŃCZYKA.

PRZEKŁAD

B. B.

(ciąg dalszy)

Z tego powodu i w wychowaniu Greka jednaką zwracano uwagę i na ciało i na duszę człowieka. Tak nazwana u Greków nauka kołowa, encyklopedyczna, składała się z muzyki i gimnastyki. Pod wyrazem muzyka pojmowali Grecy całe wykształcenie umysłowe. Nazywali zaś wykształcenie duchowe muzyką, dla tego że muzyka i poezyja stały na czele wykształcenia umysłowego. Z resztą nie we

wszystkich państwach Grecyi przestrzegano równowagi w wykształceniu umysłu i ciała, w muzyce i gimnastyce. Zupełna równowaga między nimi miała miejsce tylko w Atenach, od czasów Solona, do końca wojny peloponeskiej, to jest w drugiej połowie VI i w V wieku przed Chr. U Doryjczyków, do których należeli Spartanie przeważała gimnastyka, u Jończyków w Małej Azyi — muzyka.

Muzyka, to jest wykształcenie umysłowe, składała się: 1-e z nauki czytania, pisania i rachowania; 2-e z prawideł przyzwoitości i dobrych obyczajów; 3-e z czytania poetów i uczenia się z nich wyjątków na pamięć; nakoniec 4-e z zajęcia się muzyką, w tem znaczeniu w jakiem my to słowo dziś używamy.

Rozpatrzmy każdą z tych składowych części duchowego wykształcenia Greków.

Elementarne, początkowe wykształcenie polegało na rozdzielaniu i składaniu głosek pojedyńczych wyrazów, dalej pisaniu, chociaż pisanie nie tyle było ważnem co czytanie, rachowaniu i według niektórych świadectw na rysunkach. Praktyczny cel znajomości tego, co my nazywamy początkowymi wiadomościami, to jest umiejętności odczytania wyrazów napisanych polegał na umiejętności czytania uchwał ludowych. Dla tego to nie tylko w Sparcie, gdzie według słów jednego z pisarzów nie uczono się wcale początków nauki, a według innego uczono się o tyle, o ile trzeba było na pierwsze potrzeby — więc nie tylko w Sparcie, ale i w Atenach na wiadomościach początkowych ograniczało się całe ukształcenie wielu osób nawet znakomitych rodzin.

Tak o Cymonie, jednym z bardziej uwagi godnych mężów stanu, którzy żyli w czasie przed Peryklesem, opowiada jeden ze współczesnych, iż nie znał on ani muzyki, ani jakiejkolwiek z nauk wyzwolonych popłacających w Grecyi. Hyperbolos słynny demagog za czasów Arystofanesa u komika Eupolidesa opowiada o sobie, iż oprócz czytania, pisania, i rachunków nic nie umie. W ogóle w czasach Arystofanesa wykształcenie bardzo upadło. Bez względu wszakże na to, iż wykształcenie większej części Ateńczyków ograniczało się znajomością czytania, pisania i rachunków, tyle w nich było wrodzonego smaku, taktu i sprytu, tyle było kształcących pierwiastków w otaczającej ich sferze, że na przykład widzowie teatru ateńskiego, bez trudności pojmowali nie tylko myty tragedyj, ale nawet najdrobniejsze, najdelikatniejsze aluzyje do osób współczesnych i znajdowali przyjemność w parodyjach tragedyj, którymi przepełnione były komedyje Arystofanesa. Dla tego też koniecznie trzeba było pamiętać dobrze parodyjowane tragedyje; a utwory dramatyczne w Atenach rzadko dawane były dwa razy w jednej i tej samej formie, a przytem jeśli były powtarzane, to powtarzały się po upływie kilku miesięcy; przedstawienie utworów dramatycznych było rzeczą religijną i miało miejsce tylko w czasie świąt Dyjonizosa czyli Bachusa. Te wszystkie okoliczności wskazują że Ateńczycy byli wielce wrażliwi, pojmowali bystro i pamiętali długo; inaczej komicy nie wdawaliby się tak często w parodyje.

Delikatność smaku i słuchu Ateńczyków była znowu tak wielką, że najmniejszy błąd aktora wzbudzał śmiech ogólny i na długi czas psuł mu sławę; o niektórych tego rodzaju błędach komicy ustawicznie przypominali publice. Prosta straganiarka z łatwością zauważyła błąd w rozmowie choćby i ukształconego człowieka, byle nie Ateńczyka z urodzenia. Z jaką zaś bystrością chwytała publiczność ateńska aluzyje, jakkolwiek nie jasne do współczesnych, najlepiej można widzieć z następującego zdarzenia. Eschyles, za czasów którego spryt i subtelność pojmowania dopiero zaczynały się rozwijać, w jednej ze swych tragedyj: „Siedmiu wodzów pod Tebami“ mówi o Amfijereuszu. Chce on *być* sprawiedliwym, a nietylko *uchodzić za takiego*. Jak tylko słuchacze usłyszeli ten wiersz, wnet wszyscy zwrócili się ku tej stronie, w której siedział Arystydes słynący miłością prawdy. Przykładów podobnego rodzaju możnaby wiele przytoczyć. Nawet Spartańczycy bez względu na swą niechęć do nauki i zajęć artystycznych odznaczali się bardziej nawet niż inni Grecy, taktem muzycznym, i według zdania Arystotelesa byli najlepszymi znawcami muzyki.

Sądzę że ciekawą dla czytelnika rzeczą będzie dowiedzieć się, *w jaki sposób* uczono w Grecyi czytania, pisania i rachunków. Prawie tak samo jak i u nas — przez zgłoskowanie. Dyjonizyjusz z Alikarnasu, znany retor czasów późniejszych, tak mówi o początkowem nauczaniu: naprzód uczono się nazwisk głosek, później ich kreślenia i znaczenia, później składanie głosek; dalej części mowy, to jest imiona, słowa i spójniki; potem już przystępowali do czytania i pisania, naprzód przez zgłoskowanie i powoli. Ateneusz przechował nam urywki z „Tragedyi gramatycznej Kalliusza;“ naprzód w czterech wierszach wyliczone są głoski alfabetu greckiego, następnie chór bierze się do sylabizowania; naprzód jedna część chóru śpiewa: *beta alfa ba, beta e be, beta jota bi*; później druga część chóru śpiewa: *gamma alfa ga, gamma e ge*, i t. d.

Platon opisuje nam w jaki sposób rozpoczynano naukę czytania. Nauczyciel linijował, później dawał ucznowi wzór do pisania i kazał mu pisać na linijach, nakreśliwszy pierwej głoski ołówkiem.

Rachunków Platon radzi uczyć na jabłkach i innych podobnych przedmiotach, aby zachęcić dziecię do nauki. Zwykle zaś, tak w szkole, jak i później w życiu rachowali na palcach lub na stosownych przyrządach do rachowania.

Urządzenie przyrządów nie jest nam znane, iż jednak istniały, o tem wiemy z wielu wskazówek. Tak Teofrast powiada, że człowiek nieuważny zliczy sam cośkolwiek na gałkach do rachowania, wyprowadzi summę ogólną, a później pyta kogokolwiek, obok niego siedzącego: „ile wypadło?“ A pyszałek każe liczyć swemu słudze.

Po początkowych wiadomościach, przystępowali do czytania i uczenia się na pamięć wierszy poetów. Czyniono to w celu zaostrzenia pamięci, poznajomienia się ze wspaniałymi obrazami Homera i innych poetów, a nadewszystko dla ukształcenia moralnego, aby rozwinąć rozsądek, wykształcić serce, wzbudzić poczucie przyzwoitości i moralności i uczynić duszę wrażliwą na czyny wielkie i szlachetne. Z tego powodu do czytania i uczenia się na pamięć wybierali oprócz Homera, poetów przeważnie moralizujących, słuszniej zaś wyrażając się, takich u których częściej spotykano rozmaite pożyteczne w życiu maksymy, zwłaszcza Hezyjada i Teognisa. Być może, temu zawdzięczamy, że dzieło Teognisa, które do nas doszło, składa się z rozmaitych moralnych i pouczających zdań, prawie niczem nie wiążących się z sobą; prawdopodobnie mamy tylko wybór elegij Teognisa, dla użytku szkół przygotowany.

Główną wszakże rolę w wychowaniu młodzieży ateńskiej odgrywał Homer.

Niektórzy umieli na pamięć całą Ilijadę i Odysseję. Znaczenie Ilijady i Odyssei wzrosło wtedy zwłaszcza, kiedy w VI wieku przed Chrystusem, Solon, Pizystrates i jego dzieci przez rozmaite postanowienia przyswoili na prawach ojcowstwa, że tak powiem, Ateńczykom poezyje Homera, które bezwątpienia powstały w kolonijach małoazyjatyckich wśród jońskiego plemienia. Ateńczycy zaś umieli uogólniać, i czynić powszechną wszystkich Greków własnością to wszystko, co bądź to przez nich samych zostało wyrobionem, bądź to przejętem zostało od innych. Z tej przyczyny od czasów Solona, poezyje Homera coraz bardziej wnikały w życie ateńskie, i w skutek wymienionej już właściwości Ateńczyków w greckie w ogóle. Od Homera poczynało się wychowanie młodzieży ateńskiej, ba, nawet dla ludzi wieku dojrzałego poezyje Homera były ulubioną rozrywką.

Od nich wzięła początek tragedyja attycka: i treść i poglądy, język nawet zawdzięcza Homerowi. I oto dla czego Ateńczycy nazywali Homera pierwszym tragikiem. Dalej, z Ilijady i Odyssei brali rzeźbiarze przedmioty do swoich arcydzieł. Nawet państwa greckie powoływały się na nie, jak w naszych czasach powołują się na traktaty i przymierza.

Niektóre państwa umyślnie podrabiały i wstawiały wiersze na swoją korzyść. Historycy i geografowie opierali się na Homerze, jako na prawdziwym świadku. Wiele wierszy z poezyj Homera w życiu potocznem przytaczano jako przysłowia. Homer był ideałem mądrości, był *poetą* wyłącznie. Nic dziwnego tedy, że w szkołach więcej uczono się Homera, aniżeli innych poetów.

Do samego upadku Konstantynopola zachowało się jego znaczenie. Wiemy, że nawet w szkołach chrześcijańskich na równi z biblija studyjowano Homera.

Późniejsi pisarze bizantyńscy często bardzo nic nie umieją, a Homera znają. Do dzieł Homera dorabiano ryciny dla szkół, i takie rysunki doszły do nas pod nazwą Tabula Ilijaca. Główną wszakże uwagę zwracano na dobre obyczaje i przyzwoite zachowanie się. Platon powiada, że na to więcej zwracano uwagi, aniżeli na postępy uczniów w nauce. Tutaj wchodziły rozmaite, często drobiazgowe obrządki. Nad ich wypełnianiem czuwali surowo i pilnie, stąd też chłopcy znajdowali się pod ciągłym dozorem pedagoga. Nad dziewczętami czuwała matka lub niańka.

Niektóre wskazówki tyczące się przystojności i przyzwoitości przechował nam Plutarch.

Przyuczono dzieci do wykonywania ruchów za pomocą ręki prawej; i tak przy stole brali potrawy prawą ręką, a chleb lewą. Ryby wędzone brali jednym palcem, inne potrawy dwoma palcami. Sposób zarzucania na siebie płaszcza był również ściśle określony. Na ulicy pochyleni, przy spotkaniu zaś ze starcami okazywali im winne uszanowanie. W obec ludzi wiekiem poważnych milczeli. Rzadko kiedy młódź obiadowała w części domu przeznaczonej dla mężczyzn, zwykle zaś z matką. Przy stole siedzieli, podczas gdy dorośli leżeli.

Nierównie przecież ważniejszym i bardziej godnym pochwały, aniżeli wszystkie przepisy przyzwoitego zachowania się, jest następujący szczegół wychowania greckiej młodzieży.

Przed wojną peloponezką, dzieci starannie usuwano od spraw państwa. Nie zadziwi nas wcale, że w Sparcie przed trzydziestym rokiem życia nikt nie znał zgromadzenia ludu i jego zwyczajów osobiście, ale to jest rzeczą szczególną, że w Atenach, gdzie zebrania ludowe miały tak ważne znaczenie, młodzież, naturalnie dobrze wychowana, długi czas nie chodziła na zgromadzenia ludowe, nie znała spraw państwowych. Wiemy, że jeśli wypadła potrzeba młodzieńcowi przejścia przez plac zgromadzeń ludowych, to przebiegał szybko z całą wstydliwością i przyzwoitością.

Za czasów wojny peloponezkiej, zwyczaj ten zaczął upadać.

Jeden z mówców skarżąc się na tę zmianę mówi: „Teraz młodzież spędza czas nie w gimnazyjum, jakto bywało pierwej, ale w sądzie.“ Ze szczególnego rodzaju żółcią napada Arystofanes w „Chmurach“ na lekceważenie zasad przyzwoitości. Przytoczymy w skróceniu ten szczególny ustęp, gdyż on dobrze charakteryzuje sprzeczność w rzeczach przyzwoitości czasów dawnych, miłych Arystofanesowi, z nowemi wyobrażeniami. d. n.

KRONIKA PARYZKA.

Z nad Sekwany.

I.

Paryż. Marzec.

Nowa Opera. — Ceci a tué cela. — Epoka Odrodzenia i gotyk. — Św. Magdalena. — Freski Pawła Baudry. — Trzy szkoły malarskie. — „Pasterze“ Baudry. — „Korespondencyja“ Proudhona.— Zabawy w Paryżu. — Wyścigi. — Kodeks salonowy z porcelany chińskiej.

Krytycznemu rozbiorowi Nowej Opery w Paryżu należałoby poświęcić książkę całą. Jeżeliby sąd ostateczny nie wypadł na korzyść nowoczesnego architekta, to w każdym razie mielibyśmy rozbiór pouczający.

Mało kto z was nie czytał Notrdamy Hugona. Przypominacie sobie piękny fragment p. t. *Ceci a tué cela*, w którym poeta francuzki wykazuje jak wynalazek druku zabił architekturę. Duch ludzki dla wywnętrzenia swoich tajemnic i myśli wybrał z czcionek złożone kolumny, jako szybciej i wyraźniej mówiące od pięknych lecz milczących linij architektonicznych. Prawie jednocześnie z wynalazkiem druku rozpoczyna się tak zwana epoka odrodzenia. Nikt też nie zaprzeczy, że epoka ta stosuje się raczej do poezyi i sztuk pięknych z wyłączeniem architektury właśnie. Może komuś więcej się podobać gmach w stylu odrodzenia, aniżeli gotyk — mimo to renesans jest tylko powtórzeniem i kompilacyją dość samodzielną stylów starożytnych. Natomiast gotyk z kolońską katedrą na czele, wprowadza nas w ciemne krużganki chrześcijańskiego dogmatu, pokrytych arcy-oryginalną i bogatą ornamentacyją wybujałej fantazyi; żadne inne dziełko sztuki nie zdoła serca naszego owionąć tak potężnie o sobie mówiącą atmosferą, jak chłodna nawa, pod którą unosiły się pieśni i zapach jarzących się świec woskowych średniowiecznych procesyi. Tak więc architektura odrodzenia była tylko dekreszczendem do zeszłowieczego rokoko, i w dalszym ciągu do obecnej bezdusznej imitacyi. Wiek nasz nie posiada żadnej samodzielnej architektury. Budynki współczesne są poprostu sztucznem odtworzeniem stylów dawnych z domieszką często jaskrawej ornamentacyi.

Gmach Nowej Opery mieści się o parę set kroków od tak zwanej Madleng, kościoła św. Magdaleny. Jakaż między niemi różnica! Madlena posiada kształty pełne imponującej prostoty, wyraźne, stanowcze. Obserwowana w dzień lub w nocy, przy pogodzie chmurnej lub przy blasku księżyca, zawsze przemawia do nas jednako określonym i typowym stylem swoim. Dokoła niej idą kamienne aleje perystylów, wysadzanych gęstwiną kolumn korynckich. Madlena zdaje się być przeniesioną z jakiegoś ateńskiego akropolu i zdaje się mówić do nas: mnie artysta począł w chwili natchnienia, jam wyszła z jego wnętrza dojrzałego, członków moich nie sztukowano po narodzeniu, ani przyozdobiono mnie dla pokrycia dwuznaczności mojej budowy, jestem jednolitą, jakby z jednego wykutą kamienia, jestem gmachem, jestem stylem, a grecki język moich linij, czytelnym jest dla wszystkich narodów. Natomiast gmach Opery nowej, zdaje się być zbiegiem kilku gmachów — a charakter budowy zmienia się zależnie od strony z jakiej się przyglądamy operze. To co jest piękne i imponujące w nowej operze, nie wypływa z niej samej, ale z tego co na nią nałożono: z ozdób, upiększeń ornamentacyj i luxu szalonego. Jestto jej cechą charakterystyczną. Nie będziemy też nad nią zastanawiać się dłużej, a przejdziemy raczej do jej wnętrza, aby ocenić malarskie ozdoby sufitów, od drzwi i sklepień pędzla niepospolitego malarza Pawła Baudry.

Freski pana Baudry zbudziły w krytykach paryzkich i publiczności niezwykłe zadowolenie estetyczne. Znaczna część pism naszych zaznajomiła czytelników swoich z nowemi pracami tego malarza, przyglądając się w sprawozdaniach swych, osobno każdemu z obrazów. My jednakże postąpimy sobie nieco odmiennie. Zamiast zastanawiać się nad szczegółami, podamy ogólniejszą charakterystykę talentu malarza i jego produkcyi.

Sposoby pojmowania i traktowania wielkiego dekoracyjnego malarstwa są dwojakie, powiada *Henryk* Houssaye. Freski Michała-Anioła, Rafaela, Vinci Delaroch'a, Corneliusa, Kaulbacha i innych należą do pierwszej kategoryi. Wszyscy oni względnie do zasobów swoich wewnętrznych, zachowując swoją indywidualność przejawiającą w sile lub w wdzięku, w ruchu lub w spokoju, w kolorycie harmonijnym lub chłodnym; wszyscy oni trzymali się jednych i tych samych zasad artystycznych, polegających na pięknej i prostej kompozycyi, na wielkich i okazałych typach, na pozach szlachetnych, na kolorze bladym, utrzymanym umiejętnie w harmonii, na tonach matowych pozbawionych blasku *w świetle* i przechodzących ze znakomitem stopniowaniem do światło-cienia, i wreszcie na zupełnem pominięciu efektowności. Do kategoryi drugiej należą: Paweł Veronesa, Rubens i Delacroix. U tych tryumfuje efekt radujący oko patrzącego. Figury w ich produkcyjach, nacechowane pięknym stylem, śmiałą i ruchliwą pozą, ruszają się, zrywają się, podnoszą, uciekają lub też zbiegają się w atmosferze świetlanej. Pełno tu jest rozmaitości w kolorycie i żywego stopniowania w karnacyi. Obok tych dwóch wielkich szkół występują malarze mantuańscy, bolońscy i francuzcy z XVII wieku, tworzący szkołę trzecią; jest to rzeczywiście szkoła i dobra szkoła, ale nie szkoła wielka. Brak jej podniosłości, stylu i umiarkowania barw Rafaela, Michała Buonarotti i porywającego blasku Veronesa. Figury dobrze się uwydatniają, rysunek jest umiejętny, draperyje traktowane ze smakiem, kompozycyja zdolnie jest rozwinięta. Typom wszelako brak charakteru, postawy są konwencyjonalne, w kolorycie pozbawionym szlachetnego blasku, widnieje nadużycie barw ciemnych. Jestto styl pompatyczny, który zresztą jako ozdoba w architekturze dobrze odpowiada przesadzie stylu jezuickiego i stylu Ludwika XIV.

Paweł Baudry dla spełnienia swego zadania, udał się do Włoch i tam rozmyślał pod wpływem potrójnego natchnienia trzech mistrzów Michała-Anioła, Rafaela i Corregi'a. Jeżeli nie stanął na wysokości dwóch pierwszych szkół, to wszelako w znacznym stopniu ustrzegł się maniery szkoły trzeciej, co zawdzięcza niepospolitemu swemu talentowi i pracy dziesięcioletniej nad swemi freskami dla nowej Opery.

Najoryginalniejszą cechą w kompozycyjach p. Baudry jest artystyczne pojmowanie typów niewieścich i męzkich. Kobiety tego malarza są zjednoczeniem wdzięku i siły, Cybele i Ewy. Pragnie on, aby kobieta, która jest kochanką wyobrażała zarazem siłę jako matka i karmicielka. Była to z resztą idea grecka podczas wielkiej epoki piękna. Taką jest Parka w Partenonie i Wenus Milo mieszcząca się w Luwrze. Nie zdołał się jednak Baudry otrząsnąć z wpływów nowożytnych w tym względzie. W postaciach jego kobiecych, w kształtach widnieje niezaprzeczenie siła antycznych niewiast, pozy nie jednej z nich granicza z poważnym majestatem Junony. Na to każdy się zgodzi. A jednak ponętny świat kokieteryi ozwał się w piersiach artysty, i dla tego też Muzy p. Baudry uśmiechają się do nas jakby Anna Senelos, albo Lola Montez. Dowodem najmocniejszym *Terpsychora*. Efekt ten wypływa z pozy i z kolorytu w części. Dla tego też niektórzy puryści zarzucają ar-

tyście nowoczesny realizm — niektórzy posuwają się do przesady dopatrując się w kobietach Baudry zmysłowej ponęty kokotek paryzkich. d. n.

Przegląd literatury dramatycznej.

Wit Stwosz dramat Wincentego Rapackiego.

(Dokończenie)

Spostrzegamy tu już lekki ferment blizkiego dramatycznego zawichrzenia, które silniej rozbudza się po chwili, gdy Steinbauer obrażony zostaje lekceważeniem i hardością Stwosza. Steinbauer szuka tylko dogodnej sposobności pomszczenia się. Sposobność tę znajduje w następnym akcie. Wit naprawił zegar w kościele św. Sebalda, a „Hańba każdemu kto zegar naprawi, tak mówi stare podanie w kronikach.“ Steinbauer podszczuwa fanatyczny lud na Stwosza. Na tem jednak nie poprzestaje. Po chwili bowiem zjawia się handlarz Baner, łotrzyk jakich mało, któremu Wit powierzył cały swój pieniężny majątek, na co otrzymał od Banera rewers z własnoręcznym naturalnie podpisem handlarza. Steinbauer tedy chwyta owego Banera i namawia go do rzucenia kalumni fałszerstwa na Stwosza i wyparcia się rewersu. Baner zgadza się i zeznanie swoje przed sądem przysięgą stwierdza. Stwosz za rzekome fałszerstwo zostaje piętnowanym na rynku publicznym.

Taką jest osnowa obszernego dramatu pana Rapackiego. Przyjrzawszy się choć z lekka tej osnowie, spostrzegamy w niej szczególne zjawisko estetyczne. Wit Stwosz wedle założenia autora, ma być bohaterem dramatu. Tymczasem nie jest nim najzupełniej. Widzieliśmy bowiem, że właściwym inicyjatorem dramatycznego zawiązku jest Steinbauer w nikczemnym konwoju swoich towarzyszy. Stwosz jest bohaterem tytułowym i jest nim niestety tylko ze względów czysto materyjalnych, największą bowiem w dramacie ma rolę. Dwa te względy, t. j. tytułowa firma i rozmiar roli *bałamucą* w pierwszej *chwili* uwagę czytelnika na korzyść Stwosza, który jednak po pewnym namyśle dochodzi do przekonania, że Stwosz w dramacie tegoż nazwiska jest niewinnym i biernym automatem.

Nie Stwosz podejmuje walkę dramatyczną, ale Steinbauer. Jestto przewinienie znaczne. W żadnym rozumnie napisanym dramacie nie znajdujemy podobnego objawu. Bohater czeka aż go ktoś zaczepi — sam zaś poprzestaje na bezsilnych złorzeczeniach. Steinbauer natomiast prowadzi rzecz zaczętą energicznie do końca. Czyżby autorowi chodziło tylko o wykazanie nikczemnej natury otoczenia Stwosza, o przedstawienie ówczesnej norymberszczyzny w ciemnem świetle? Jestto raczej dobry temat do monografii, a w zakresie sztuki może stanowić najwyżej tylko tło piękne.

Ustawił tedy autor sporą bryłę kamienną na rynku norymberskim. Bryła ta zawadza niektórym mieszczuchom i artystom średniowiecznego grodu niemieckiego. Cała więc ta hałastra rzuca się na ową bryłę, aby ją rozbić i usunąć z drogi. Tymczasem stosunek powinien był być zupełnie odwrotnym. Bohater dramatu stawia sobie jakiś cel, do którego dąży a napotykane po drodze przeszkody usuwa najenergiczniej.

„Do walk? nie, dziecko! (powiada Stwosz do córki swej Beaty). Odzieję się tylko
„Płaszczem skromności. Stwosza zaprę w sobie“
(str. 76).

Jestto natura cofająca się w siebie. Jestto postać wklęsła wobec łukowato rysującego się Steinbauera. Jestto figura, którąby solidometrycznie można nazwać *concare*, w obec wychylającego się naprzód przeciwnika, którego by nazwać można *conveve*. Stwosz jest szlachetnym *minusem*, Steinbauer *plus'em* niegodziwym. Ten ostatni wchłania w siebie wszelaki żywioł dramatyczny i jest jego względnym punktem środkowym...

W końcu drugiego aktu zostaje zabity w sprawie Stwosza najwierniejszy jego przyjaciel uczeń i towarzysz. Nazywa się Albrecht. Stwosz za nim się bierze do pomszczenia śmierci takiej, wypowiada tyradę długą na czterdzieści blisko wierszy. Gdybyż ją był przynajmniej poświęcił chłodnemu rozmysłowi nad sposobem wypełnienia zemsty czy kary... Ale gdzie tam. Jestto szereg frazesów, przypominających monologi Hamleta; z tą wszelako różnicą, że u Szekspira są one świetnem dopełnieniem arcybarwnej hamletowskiej psychologii; tu zaś charakteryzują frazeologiczne serce i dość monotonną duszę Stwosza. Monolog ten kończy się słowy:

„Ha, zgrajo niecna, za tę krew mi drogą
Zapłacisz sześćkroć — lub sam legnę trupem!
(str. 79.)

I czy sądzicie, że tak uczynił, jak powiedział. Bynajmniej. Zgraja niecna nie zapłaciła sześćkroć—a Stwosz nie legł trupem. W prawdzie w początkach następnego aktu, dowiadujemy się w lekkiej wzmiance że Stwosz dzielnie władа berdyszem i że pokaleczył kilku, ale jestto tylko wzmianka—sam fakt zaś nic nie wpływa ani na losy bohatera, ani sztuki samej.

Arcy egotyczna natura Wita skreśla się następującemi słowy.

„Ja nie mam dzieci! W pogoni za sławą,
Za marnem widmem, uciekłem przed niemi,
Zamknąłem serce przed miłością wszystką.“
(str. 135.)

Jestto najważniejsza przyczyna owego ściśnięcia swego *ja*. Wyrzekł się wszystkich człowieczych miłości, uczucia rodzinnego, tęskноty za ojczyzną, a zamknął się wyłącznie ze swoją sztuką. Oszнurował piersi gorsetem ukochanej idei, która wydaje mu się odpornym pancerzem w obec wroga. Brak właściwej dramatycznej kolizyi sprawia, że Stwosz, jest takim samym prawie w aktach początkowych jak w końcowych. Nie znać w nim żadnego psychicznego progresu. Jeżeli posunie się na chwilę naprzód, to zaraz potem trzykroć silniej się cofa. Nie ma w nim żadnego potęgowania, żadnego rozrostu. Prawdziwy bohater dramatyczny, w skutek samejże kolizyi dramatycznej wzmaga się, rozpiera i wielmożnieje. Tego wszystkiego w Wicie nie widać. A nawet spostrzegamy w nim objaw wprost przeciwny. Oto w ostatnich scenach ostatniego aktu, daje za wygranę swej hardości, korzy się i wygina w pałąk. Jest on męczennikiem własnej idei, która wre w nim samym, ale nie popycha go naprzód, przelewa mu wątrobę, ściska jego pięści, zapala oczy i porusza usta spazmatyczną klątwą. Zdaje się, że po kolana ugrząsł w ziemię i stamtąd wydostać się nie może, aby uderzyć na wroga. Podobnym on jest do twierdzy której załoga zamiast prażyć nieprzyjaciela ogniem i rozbijać budowane bateryje, poprzestaje na rzucaniu klątw biblijnych.

Jeżeli autor chciał uczynić Stwosza dramatycznym, winien go był zrobić np. Cellinim, którego nie tylko nienawidzono, ale przed którym drżano także—winien go był autor uczynić popędliwym i dzikim, albo czynnym i stanowczym. Powinien go był uczynić człowiekiem uderzającym energicznie na przeciwnika w skutek czego wywiązałaby się istotna kolizyja dramatyczna. Być może iż autor nie chciał fałszować faktów historycznych na osobie swego bohatera? Czemu jednak wykroczył przeciw przepisom sztuki, która w typowych swych zasadach jest niezmienną, a modyfikuje się do pewnego stopnia ze zmianą wiekowych pojęć etycznych i społecznych. Przewinienie popełnione tym razem przez autora większem jest dziesięćkroć od przewinienia, którego autor popełnić nie chciał.

Przejdźmy teraz do Steinbauera. Dowiadujemy się o nim z ust Vischera odlewnika że to człowiek skromny, spokojny, i dość cichy.

„Aż naraz pycha wylęgła się w sercu (Steinbauera)
I zajrzy wszemu co ma wartość jaką.“ (str. 35.)

Bardzo dobrze. W duszy spokojnego Steinbauera drzemała namiętność silna. Zbliża się tedy okoliczność pobudzająca — uśpiona dotychczas namiętność ze snu się porywa. Takim ludziom zaufać można. Gdy wezmą się do jakiegoś dzieła, to spełnią je nieomylnie. Widzieliśmy, że pierwotnie Steinbauera do Stwosza zniechęciło nowatorstwo tego ostatniego; stanowcza zaś nienawiść dopełniła się pochwałami króla portugalskiego o cymboryjum Wita, i hardość bohatera dramatu. Steinbauer również jak Stwosz jest artystą, niższego tylko poziomu, miewa swoje marzenia i chęć sławy, gdy przyszło jednak do rzeczy, człowiek myśli przemienia się w człowieka czynu. Chętniej oko spoczywa na Steinbauerze, który bardziej od Stwosza kwalifikuje się na bohatera dramatycznego. Aby zgubić nienawistnego Stwosza, Steinbauer wybiera się manowcami, uzbrojony w dość zręczny aparat zemsty stanowczej; nie ochładza duszy swej żadnemi skrupułami, nawet obawa kary pośmiertnej nie powstrzymuje go. Jakkolwiek jestto postać nieco teatralna ze względu na środki jakiemi się posiłkuje—i jakkolwiek nie posiada żadnego rysu sympatycznego, gdyż do wroga swego strzela z po za płotu, mimo to spostrzegamy w nim siłę, która go podtrzymuje do końca w psychologicznem crescendo. Steinbauer wzięty osobno może zyskać pochwały krytyka — w dramacie jednak samym bardziej jeszcze uwydatnia księżycową bladość Stwosza. Zamiast odmiennością swej istoty, podnieść i wysunąć naprzód bohatera dramatu, spycha go w cień i uwydatnia wątłą jego siłę. Dla tego *Wit Stwosz* jestto *nie—dramat*, gdyż w głównej swej postaci pozbawionym jest żywiołu dramatycznego. Nie jestto nawet *obraz* dramatyczny, gdyż brak mu pierwszych planów, a je-

żeli są, to je uzurpuje, mimowoli autora, Steinbauer postać drugoplanowa.

Tak zwana intryga dramatyczna w *Stwoszu* polega na rewersie wystawionym na imię handlarza Banera. Rewers ten, jak nam wiadomo, zostaje wyzyskanym przy pomocy Steinbauera na zgubę Stwosza. Węzeł ten uważamy za nazbyt melodramatyczny i papierowy jak rewers, na którym intryga polega. Środek to bardzo zużyty, błahy i nie odpowiadający poważnemu nastrojowi utworu. Sama zaś postać Banera również jest stereotypowa, przypominająca zwykłe czarne charaktery pośledniejszych dramatów francuzkich.

W *Stwoszu* nie brak kontrastowości figur dramatycznych; ale kontrastowość ta wypływa z zestawienia postaci, albo jaskrawych, albo bladych. Do tych ostatnich należy Vischer, Albrecht zaś zawcześnie kończy swoję karyjerę, godzien lepszego losu. W pierwszym akcie wchodzi Emanuel W., postać ta psuje harmoniję budowy. Emanuel W. zyskuje sobie odrazu sympatyją czytelnika, zdaje się na razie, że wpłynie następnie na losy dramatu—mimo to wychodzi wkrótce i znika niepowrotnie. Emanuel W. przyczynia się bardzo, choć mimowoli, do zbudzenia zawiści w czynnym Steinbauerze, a więc silnie jakkolwiek pośrednio wpłynął na losy bohatera. Widzimy tu zarazem jak przypadkowa przyczyna zawiązuje rzecz całą.

Beata córka Stwosza ma kilka sytuacyj sympatyczniejszych. Niezrównanym jest *Deichsler* kronikarz średniowieczny. Postać to żywo wykrajana z epoki, którą w swoim zakresie kronikarz ten pysznie osobą swą charakteryzuje. Pięknemi i nieraz pełnemi werwy są sceny ludowe np. w pierwszej odsłonie drugiego aktu. Bardzo efektowną jest scena piętnowania Stwosza. W ogóle tło wraz z akcesoryjami dramatycznemi, mocniejsze na nas sprawiły wrażenie jak sam obraz.

Język w Stwoszu poważny, wytrawny, nieraz mocny, ubarwiony metaforami pełnemi prostoty.

O powodzeniu Wita Stwosza na scenie, skreślimy słów kilka w „Śladach życia."

Zgliński.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

MALARSTWO.

Cudzoziemiec, parafijanin, wielki pan, lub powracający z zagranicznych studyjów artysta — w ogóle przelotne ptastwo odwiedzające raz na lat kilka Warszawę—znalazło by dziś wielką zmianę — śmiemy powiedzieć przełom, stanowczy zwrot w dziejach naszej Wystawy Tow. Zachęty sztuk pięknych — a więc pewien przełom i zwrot w historyi naszego malarstwa. Nie mówimy tu już o zmianie, nieuniknionej w obec tej potęgi o herkulesowych ramionach, jowiszowej brodzie i pożerającym żołądku która z nieubłaganą klepsydrą w dłoni przerzedza szeregi kapłanów sztuki, tą samą symboliczną kosą i tak samo obojętnie, jak to czyni z najzwyczajniejszymi śmiertelnikami, której miano: *czas.* Nie mówimy tu o koniecznych, a więc widocznych postępach młodych artystów, których widzieliśmy dzieciakami chwytającemi za pędzel, a dziś, uchylamy czoła przed genijalnemi tego pendzla rzutami. Zamiarem naszym na dziś — zwrócić uwagę czytelnika na szybki skok, jaki od lat kilku krajowa sztuka zrobiła, pozostawiając dzieła niedawno jeszcze u nas wielbione daleko po za sobą, i na kierunek, który w większości utworów młodej generacyi naszych malarzy dominuje. Ocena tego kierunku, do której sposobność dadzą nam wystawione w tych czasach obrazy, może nie będzie bez interesu dla naszych czytelników, choćby dla tego, że wiążą się z nią ściśle imiona europejskiej już sławy, których działalność wytworzyła, a przynajmniej wytwarza, cały zastęp malarzy nowej *polskiej szkoły.*

Kilka lat w życiu danego społeczeństwa, to chwila, mgnienie oka — a czasem to wiek cały. Uragan, burza, szalony prąd wypadków—niesie, porywa, roznamiętnia naród i wstrząsa w podwalinach jego istnienie. To Termopile lub Narodowa Konwencyja — Akcyjum lub Sedan. Naród w ówczas jest rozbitkiem, na nieznane brzegi wyrzuconym przez nawałnicę. Po za nim przeszłość pełna chwały — przed nim dziewiczy las nadziei i ułud — w nim samym albo zapas doświadczenia i mądrości dziesięćkroć silniejszy przebytemi nieszczęściami; albo osłabienie, zużycie, niemoc, zgnilizna... Otwierają mu się nowe, nieznane drogi życia, na których ciężkie, bolesne pierwsze kroki. Ma do wyboru: albo z wiarą w swe siły, z uczuciem dumy z przebytych niebezpieczeństw porwać za topór pionera i torować sobie o własnych siłach drogę w historyi ludzkości, albo też bezwiednie skrzyżowawszy ręce na piersiach i patrząc w spokojne już fale morza — płakać nad wydartemi mu przez jego głębie bogactw. Społeczeństwo, które czuje się zdrowem i silnem pomimo doznanych wstrząśnień—a płaczliwie opuszcza ręce, kołysząc się do snu przeszłości tylko marami — takie społeczeństwo jest podstępnym bankrutem, marnującym krwawy grosz powierzony mu w depozyt przez historyją. Przeciwnie, wyszukując nowych promieni, by zużytkować zapas ognia i energii, nierozcieńczając go w próżnych szamotaniach lub zniewieszczając w kwilących *pia desideria* — żyje życiem prawdziwem, własnem, wewnętrzną, organiczną swoją wartością. Przykład takiego skupio nego w swem duchu życia, znajdujemy we Włoszech w epoce odrodzenia. Od lat kilku takiż sam pocieszający kierunek daje się spostrzegać i u nas, w zapatrywaniu się na wychowanie młodego pokolenia w części; w kierunku naszej literatury przeważnie; w silnym artystycznym prądzie dosięga swego *apogeum.*

Nie mówiąc o muzykalności i melomanii Warszawy, której primadonny zdobywają sobie sławę na europejskich scenach, gdy my o dziwo! nawet dyrektora opery musimy mieć włocha — godzi się jednak choć pobieżnie zaznaczyć fakt prawdziwego znawstwa, wytrawnej krytyki i szeroko rozpowszechnionego muzykalnego poczucia w naszym kraju. I jakkolwiek nie jesteśmy narodem *par exellence* muzykalnym; nie możemy konkurować z czechami lub tyrolami z których każdy rodzi się muzykiem — tak, że kto mówi czech, mówi muzyk, kto powie włoch powie śpiewak, to wszakże jest pewnem, że muzykalność nasza przeszła w organiczny byt naszych klas średnich; że na doskonałą (bez kwestyi doskonalszą od warszawsko-włoskiej) operę, i na doskonałą orkiestrę, i na dzielnych wirtuozów—na genijalnych mistrzów nawet zdobyć nam się łatwo, byle trochę wyrugować to nieszczęsne uprzedzenie, a raczej ten pociąg do cudzoziemczyzny.

Dzisiejszy prąd artystyczny w zakresie sztuk plastycznych, w znacznej części wywołany działalnością Towarzystwa Zachęty i otwarciem wystawy dla prac artystów, jest również dowodem, że pomimo nieprzyjaznych warunków, choćby klimatycznych; braku miejscowej akademii i niedostatku mecenasów sztuki—a może właśnie z przyczyny tego niedostatku — i sztuka plastyczna tak samo jak muzyka może u nas rozwijać się w całej pełni. *)

Jakkolwiek dumni być możemy z tylko co zaznaczonego faktu, praktyczny wzgląd na brak pozytywnego u nas kierunku w wykształceniu, o który potrzeby nasze gwałtownie się domagają, powinien radość naszę uśmierzyć. Jako sprawozdawca zmuszony jestem zaznaczyć fakt, lecz rozczulać się nad nim nie widzę potrzeby. Być może, że szczególne okoliczności go wywołały, przyjmijmy ganiąc jako *fait accompli* — bo lepszy rydz jak nic, i przejdźmy do właściwego sprawozdania.

Dwa przeważnie kierunki, można rzec dwie szkoły, walczą dziś o prawo bytu w naszym artystycznym światku. Nie jest to jednak uczony i literacki idealizm spierający się z pozytywizmem, gdyż jak jedna tak druga wystrzega się manowców transcedentalnych, schodzi na ziemię, z życia tylko czerpie temata i w naturalnych życiowych je uplastycznia formach.

„Bogowie uciekają!" a z nimi i malarstwo religijne. Malują się wprawdzie obrazy do kościołów — lecz malują się tak samo, jak muszą się złocić gzymsy, pilastry i lakierować filary ołtarzowe. Błąka się jeszcze gdzieniegdzie z poetyczną duszą, pełną wiary piersią artysta — jak *Hadziewicz* — lecz są to niedobitki starej gwardyi, ostatnie świetlane gwiazdy religijnego malarstwa. Na wystawie naszej więc, dział ten nie ma reprezentantów, pomimo że „Ś-ty Józef" *Ignacego Jasińskiego* wychodzi po za obręb zwyczajnych *robót* tego rodzaju. Nawet zimne, białawe światła, któremi szafuje ten artysta w portretach — tu w religijnej kompozycyi, przyczyniają się do efektu tych figur nie z tego świata...

---

*) Jeżeli nie skarżymy się na brak poparcia sztuki i jeżeli nam wszystko jedno czy mamy lub nie mecenasów jej, czynimy to z zasady. Naprzód, popierania potrzebuje tylko to, co o własnych siłach ostać się nie może, a więc co jest zbytecznem w społeczeństwie. Jeżeli zamiłowanie do sztuki stanie się moralną naszą potrzebą obejdziemy się bez popierania jej. Wywalczy ona sobie sama prawo bytu i obywatelstwa. Powtóre, dowiedzionem już jest (Buckle, Draper), że wszelkie mecenasowstwo poniża tylko i upadla tak poezyją jak sztuki plastyczne — sprowadzając je z drogi normalnego tworzenia, do niegodnej roli panegiryku, allegoryi i hołdowania konserwatyzmowi. (*Przyp. Autora.*

Dwie zaś odrębne szkoły, to — *historyczna*, której głównym przedstawicielem *Matejko* i *rodzajowa*, czerpiąca przeważnie swe zasoby w monachijskiej akademii. Jeżeli mówimy „dwie szkoły" zamiast rozróżnienia tylko *dwu rodzajów* malarstwa, to dla tego, że Matejko i jego naśladowcy pomimo historycznego kierunku, dotykają często portretów i genre'ów — a kolonija polska w Monachium, prócz rodzajowych obrazów, traktuje często historyją i pejzaż — zawsze jednak z wybitnemi cechami właściwego rodzaju.

I tak np. p. *Piwnicki Witold* malując *studyjum z natury martwej* — coś w rodzaju archeologicznej pracowni, w traktowaniu draperyi, akcesoryi, w ogólnym tonie i wrażeniu, jakie wywoływał ten obraz — chociaż nie ożywiony żadną żyjącą istotą, znakomicie naśladował styl i sposoby Matejki, choć może bezpośrednio nie był nigdy jego uczniem. Ten sam manijer przebijał w jego obrazku rodzajowym — i ten sam niedołężnie tylko przeprowadził, w niedołężnej kompozycyi quasi historycznej, zatytułowanej „Przysięga Adama Śmigielskiego." Nie mówiąc już, że obraz ze względu na pomysł może się przydać tylko jako illustracyja powieści i tylko jako taka ma wartość, to jeszcze należało pamiętać panu Piwnickiemu, że suche przecieranie farbą — podnoszące efekt w draperyjach, murach i innych akcesoryjach, którego i Matejko nie żałuje — było doskonałe dla scharakteryzowania starych gratów archeologa, lecz szkodzi w niewielkich figurach i pejzażu „Przysięgi Śmigielskiego;" robi je niezdecydowanemi w światłocieniu, nawet waciastemi. Rozkład światła i cieni również tu nie harmonijny, bez właściwej siły i nieumiejętnie rozlokowany.

Przeciwne zalety znajdujemy w historycznym także obrazie *Gersona* „Żelisław, wojewoda krakowski, przyjmowany przez Bolesława Krzywoustego po wyprawie Morawskiej." Nie tylko za pomocą suchego przecierania i laserunków, umiejętnie rozłożonego światła, ale co ważniejsza, mianowicie w Gersonie — za pomocą przepysznego i śmiałego kolorytu— połączenia najjaśniejszych i kontrastowych barw — obraz ten wywołuje doskonałe wrażenie. O mistrzowskim rysunku niema co i mówić, i gdyby nie organiczna wada wielu kompozycyi tego artysty, że niewiadomo długo, co ma obraz przedstawiać i gdzie szukać figury, która podług tytułu, powinna naprzód uderzać oko widza; gdyby nadto, niewytłumaczone, akademickie typy, lecz nie zrozumiałym dla nas obdarzone wyrazem twarzy — byłby to jeden z najlepszych obrazów p. Gersona. Lecz dla czego ci rycerze powracający ze zwycięzkiej wyprawy, niemiłosiernie rozpaczliwe mają miny? dla czego Żelisław okazując widzowi tylko przepyszną swą deliję, obrócił się doń plecami, że go szukać potrzeba i pytać się: ażaliż to jest ów rycerz, co sobie rękę pozwolił uciąć a teraz się sroma? Gdyby nie te „dla czego?" moglibyśmy widzieć w p. Gersonie godnego współzawodnika Matejki.

Nie będąc wojowniczego usposobienia, niechcemy rozwodzić się nad „bitwą na Pomorzu" p. *Sypniewskiego*, sumiennego i pracowitego artysty, który jednak samodzielnie pracując, nic wypracować nie może. Obraz ten przed kilkunastu laty, zrobiłby nie złe wrażenie na wystawie, dziś jednak lada szkic kilkucalowy „trębacza z czasów Ludwika XIV," nachlapany mistrzowską ręką przedwcześnie zgasłego *Maksymiljana Gierymskiego*, każe zapominać o całym lesie dzid i kopij (ale nie reprodukcyj lecz żelaznych, kłójących kopij) nagromadzonych w obrazie p. Sypniewskiego, zakupionym do rozlosowania przez Tow. Zachęty.

Widzimy z tego że ubogo reprezentuje się u nas dziejowe malarstwo. Jest to jednak stan przejściowy tylko, albowiem nie ma na wystawie ani *Matejki* ani *Brandta* (prócz „Zamieci" tego ostatniego, o czem później). Jest za to *Millera* „Stanisław August w Łazienkach" i — „Wanda" *Lessera.*

Dział rodzajowego malarstwa, przedstawiający niewyczerpane pole dla umiejącego obserwować artysty, przedstawiony jest przez *kilkunastu bardzo zdolnych* i młodych malarzy. Niektórzy z nich zaledwie umiejąc pendzel trzymać w ręku, wyjechali do Monachijum, i o! cudzie, po paru latach pracy, przesyłają nam mistrzowskie obrazki. Nie porywają się na wielkie rzeczy, nie chcą pozować na Matejków i Simlerów, lecz nie płodzą za to straszydeł które kiedyś zajmowały dużo miejsca na wystawie. Są to małe tylko obrazki z życia powszedniego, rysowane zawsze prawie poprawnie, malowane szeroko, z głębokiem poczuciem — jeżeli nie kolorytu to *harmonii*, która właśnie wywołuje poetyczne wrażenia, przemawia do serca prostotą treści, formy i stylu. Jeden dowód więcej, że dobra szkoła, umiejętne prowadzenie zdolnego ucznia, więcej sprawi, niż wieloletnie błąkanie się samopas po manowcach sztuki, naszych domorosłych, choćby najpracowitszych i najzdolniejszych artystów. d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

XVII.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

P. Nikodem Świerczkowski autor głośnej w swoim czasie broszury p. t. „Krytyczny rozbiór działalności Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od ognia" przygotował obecnie do druku rozprawę p. t. „*Projekt Warszawskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń od ognia i gradu*" oraz „Trzynastoletnia działalność Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń od ognia i gradu."

Rozprawę tę składają następujące rozdziały stanowiące jakby oddzielne całości:

1. O instytucyjach w ogóle, a w szczególności o instytucyjach ubezpieczeń.
2. Zasadnicze różnice ustaw Tow. ubez. akcyjnych i Towarzystw Ubezpieczeń na wzajemności opartych.
3. Projekt ustawy działu ogniowego.
4. Projekt ustawy działu gradowego.
5. Trzynastoletnia działalność Krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń opartego na wzajemności.

Szczegółowo przedstawiona 13-to letnia działalność Krakowskiego Towarzystwa Wzajemności Ubezpieczeń, ma za cel wykazanie o szczególnej pożyteczności podobnego rodzaju towarzystw na wzajemności opartych.

P. Napoleon Orda, muzyk, filolog i rysownik, niezmordowany turysta, który zwiedził po większej części pieszo całą prawie Europę, wydał w litografii Fajansa prześliczne album widoków Wołynia i Litwy. O albumie tym pomówimy nieco obszerniej.

Niedawno otwarto dwie nowe filije Banku Polskiego, mianowicie w Jędrzejowie i Łodzi. Mamy więc już obecnie dziewięć w kraju takich instytucyj. Dla handlu i przemysłu krajowego rzecz to niesłychanie ważna!..

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych rozpisało 3 konkursa: malarski, rzeźbiarski i architektoniczny każdy z dwu nagrodami. Tematem dla malarzy ma być „*Gościnność*," dla rzeźbiarzy „*Długosz*," dla architektów „*brama wjazdowa do parku*. wraz z domkiem dla ogrodnika."

P. Andriolli jak dowiadujemy się z dobrego źródła przygotował już 5 kartonów rysowanych kredą na bristolu do ilustracyi „Maryi" Malczewskiego— która nie zadługo ma się ukazać w tem nowem świetnem wydaniu. Rysunków ma być *ośm* w ogóle.

Hr. Aleksander Fredro (syn) napisał nową pięcio-aktową komedyją p. t. „*Wielkie Bractwo*." Komedyja ta ma być niezadługo wystawioną na scenie lwowskiej.

Podawaliśmy niedawno wiadomość że zapowiadana w kraju naszym reforma Sądowa wkrótce ma być wprowadzoną w wykonanie. Podług otóż tych nowych i zatwierdzonych już ostatecznie urządzeń, Królestwo Polskie stanowić będzie tak zwany „Okręg Sądowy Warszawski." W okręgu tym będzie:

1-a Izba sądowa (dzisiejszy Sąd Apelacyjny) a przy niej Prezes izby z płacą 6,000 rs. vice-prezesów 2-ch po 5,000 rs. Sędziów 12-tu po 3,500 rs. (dziś płaca ta wynosi 1,500 rs.) Sekretarzy 3-ch po 1,800 rs. pomocników sekretarzy 6-ciu po 1,000 rs. (dzisiejsi: pisarze i podpisarze). Prokurator 1 z płacą 5,000 rs. pomocników 3-ch po 4,000 rs. i 1 sekretarz prokuratora 1,500 rs.

Sądów okręgowych (dzisiejszych Trybunałów) będzie 10. Dziś Trybunałów mamy tylko 9, dziesiąty będzie w Piotrkowie. Prezes Sądu Okręgowego z płacą 4,500 rs. Vice-prezesów 3-ch przy każdym Trybunale po 3,500 rs. Sędziów 6-ciu po 2,200 rs. (dziś płaca ta wynosi 900 rs. i niżej). Sekretarzy 3-ch po 1,200 rs. pomocników 5-ciu po 600 rs. Prokurator 3,500 rs. pomocnikom 3-em jego po 2,000, sekretarz 1 z płacą 1,000 rs.

Sędziów śledczych (dzisiejszych asessorów Sądu Poprawczego) z płacą 575 rs. będzie 103 każdy po 1,500 rs.

Sędziów Pokoju będzie 110 z płacą po 2,500 rs. (posady honorowe zostają zniesione). Sekretarzy 85 po 600 rs. każdy. Dzisiaj w Królestwie jest 80 Sądów Pokoju, w których podsędkowie mieli pensyi po 600 rs. i niżej.

Wreszcie Prezesi zjazdów pokojowych, których będzie 20 z płacą po 3,000 rs. i sekretarzy zjazdów 20 po 600 rs.

Urzędnicy sądowi jednego stopnia równą pobierać będą pensyją w Warszawie i na prowincyi, dziś zaś urzędnicy na prowincyi znacznie mniejszą pobierali płacę.

W ogóle przy nowej organizacyi liczba urzędników sądowych zmniejszy się do 531, nie licząc komorników i woźnych. Dzisiaj w kraju takich samych posad sądowych jest 951, a po odtrąceniu Senatu, Komisyi i Prokuratoryi które zostają zniesione, 799. Z drugiej strony etat urzędników Warszawskiego Okręgu Sądowego, znacznie zwiększony został, mianowicie wynosić będzie 1,465,050 rs. a dzisiaj dochodzi zaledwie 650,000 rs.

Jak jednak świeżo dowiadujemy się z petersburskiej gazety „Birże. Wied.“ i Peters. Wiedomosti, reforma sądownictwa u nas jeszcze odłożoną prawdopodobnie zostanie — a to z powodu braku na ten cel odpowiednich funduszów.

Odczyt panny Odyńcówny: „o wychowaniu dzieci“ odbył się w Niedzielę w salce teatrzyku dobroczynności o godzinie 7-ej wieczorem. Publiczność zachęcona dwoma poprzedniemi prelekcyjami kobiecemi, zebrała się bardzo licznie pomimo niezbyt pogodnej pory. Chociaż słuchacze tak przychylnie byli usposobieni dla prelegentki, odczyt jednak był za słaby ażeby mógł zadowolnić oczekiwania.

Prelegentka czytając dosyć dzieł pedagogicznej treści, nie przedstawiła swego samodzielnego poglądu na sprawę wychowania, ale natomiast przytaczała wiele luźnych zdań Jana Śniadeckiego, Pestalozzego, Wernica i innych, a cytaty owe nie były ujęte w pewną systematyczną całość.

Zbyteczne też były w odczycie wykrzykniki na niesprawiedliwość losu, na zły kierunek wychowania, gdyż takie ogólniki nie ucząc nikogo, nie pozwalały prelegentce jasno przedstawić głównej myśli przewodniej. Słowem, słuchacze opuszczając salkę, wynieśli przekonanie iż temat odczytu wybrany przez prelegentkę widocznie przeszedł jej siły.

I my razem z Kuryjerem Warszawskim podnosimy głos w sprawie *naszych stróżów kamienicznych*, a mianowicie w interesie ich mieszkań. Znacie zapewne dobrze, łaskawi czytelnicy, te ciemne, zimne i wilgotne nory, podobne raczej do schronienia istot niższego rzędu, aniżeli do siedziby indywiduum, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga.

Wprawdzie panowie właściciele domów, utrzymują, że stróż, jako osoba, przeznaczona do ciągłego przebywania na świeżem powietrzu, potrzebuje mieć tylko jaki taki na noc przytułek. Ależ zima, czcigodni panowie. A przytem, gdzież się podzieje rodzina tego biedaka. Wreszcie, co za zabójcza atmosfera w letnie [illegible] panować musi w tych norach.

Proletaryjat prowincyjonalny, którym tak żywo zajmuje się w ostatnich czasach prasa miejscowa, smutne zaiste przedstawia obrazy. W czasie chwilowego ochłodzenia litościwych serc „*duszyczek chrześcijańskich*.“ udaje się żebracza rzesza nad brzegi rzeki, i tam w miłym *farniente* spoczywając nad brzegiem, łowi nadpływające rybki. Ciężka ta praca stanowi dla nich źródło zarobku. Następnie, skoro znudzi się im to zajęcie, powracają znowu pod opiekę miłosierdzia dusz litościwych. Władza miejscowa winna postarać się o jakiekolwiek zaradcze w tym względzie środki. Czyż te pełne niekiedy sił do pracy masy, mają wegietować w wiecznem lenistwie i wyzyskiwaniu miłosierdzia publicznego!

ROZMAITOSCI.

Dziwny jeździec. Od niejakiego czasu mieszkańców pewnego domu, w alei Choisy, w Paryżu zaczął przestraszać po nocach tentent konia pędzącego na około dziedzińca, zupełnie jakby w cyrku. Kiedy nadchodził ranek, nikt z mieszkańców nie śmiał mówić o doznanym strachu z obawy szyderstwa. Wreszcie pewien starzec, śmielszy od innych usłyszawszy w nocy zwykły tentent, podniósł roletę swego okna i ujrzał przy świetle księżycowem białe widmo, pędzące po dziedzińcu na karym koniu. Starzec ten miał krewnego, który walczył przeciw prusakom podczas ostatniej kampanii, ten postanowił, bądź co bądź wyjaśnić tę rzecz.

Następnej nocy, jak tylko usłyszano tentent koński zszedł ze schodów na dziedziniec, rzucił się ku koniowi i zatrzymał takowego.

Na koniu siedział człowiek w koszuli, a tym był pan V. jeden z mieszkańców pomienionego domu.

Dziwny jeździec także uczestniczył w wojnie swych współrodaków z prusakami, został raniony w głowę i uniknął śmierci, skoczywszy na pierwszego lepszego konia, którego właściciel został zabity. Przed miesiącem rana, która się zagoiła, znowu jątrzyć się zaczęła i okazały się symptometa obłąkania. Ów rozstrój umysłowy powiększał się coraz bardziej i u nieszczęśliwego zaczęły się objawiać halucynacyje. W nocy zdawało mu się, że go ścigają nieprzyjaciele i wtedy wyskakiwał z łóżka wkradał się do zbudowanej na dziedzińcu stajni, gdzie stał kary koń ogrodnika, wskakiwał na tego konia i cwałował. Znużywszy się, wracał do swego pokoju i kładł się do łóżka, a nazajutrz biedak zupełnie zapominał o tem co czynił w nocy. Gazeta *Le Droit* donosi, iż przedsięwzięto już środki celem pomieszczenia tego nieszczęśliwego w domu obłąkanych.

* * *

W stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, zmarła w tych czasach miss Henrjetty Hunt, pierwszy doktór medycyny płci pięknej w Nowym Świecie. Nieboszka cieszyła się rozgłośną sławą, nietylko jako lekarka, lecz jeszcze jako czynna propagatorka emancypacyi kobiet.

GOSPODARSTWO
i Przemysł domowy.

Przechowywanie mięsa. Bardzo prosty sposób przechowywania mięsa w porze letniej, na wsi, w braku lodowni, jest następujący: Wyjmuje się z beczki jedno dno, wszakże tak, aby znowu mogło być szczelnie zasadzonem; na spodzie beczki stawia się podstawkę z kawałkami siarki, siarkę zapala się i zaraz zapuszcza dno, przy którem zawieszone jest wewnątrz mięso. W taki sposób, przy powtarzaniu tego postępowania, można mięso utrzymać w lecie przez 10—12 dni, w stanie świeżym bez zepsucia, i takowe nie nabiera wcale smaku i zapachu kwasu siarkowego. (T. R.)

Odpowiedzi Redakcyi.

P. *F. Z.* Pisze się *wahać* a nie *wachać*, i *wahadło*, a nie *wachadło*, gdyż słowa te są jednego pierwiastku ze słowem *waga*, a głoska słaba tylko w słabą przejść może. Jeżeliś Pan znalazł kiedy w piśmie naszem słowa te pisane przez *ch*, to było jedynie przez omyłkę zecera i korektora.

P-ni *K. Grusz... w gubernii Kijowskiej.* Wierszyk, jak na pietnastoletnią panienkę, nie zły, Ale drukować tego rodzaju prób nie możemy. Niech wprzód myśl młodziutka dojrzeje i forma się wyrobi. Dajemy tylko jedną radę: Pracy, usilnej pracy potrzeba, aby pierś młodą ożywił prawdziwy ogień poetycznego natchnienia. Drobnych rękopisów zwracać pocztą nie możemy, gdyżby nam to przyczyniło zbyt wiele ambarasu.

P. *Szulc. . w Rostowie.* Opiekuna Domowego z pierwszych lat 8-miu nie ma do nabycia.

P. *C. P. w Rydze.* Powieść „Pieniądz i Praca“ wyczerpana.

P. *Zdrojkowskiemu w Sterdyniu.* Opłata za Opiekuna Domowego była wniesioną tylko na I kwartał, dla tego w następnym wysyłka została wstrzymaną.

P. *Nosalewskiemu w Tynalu.* Drugi egzemplarz Opiekuna Domowego panu doręczony, należy do pani Ilnickiej p. Tynal w Lewadskiej Cukrowni.

P. *Janiszowskiemu w Krzywem Jeziorze.* Opiekun Domowy za kwartał IV r. 1874 wysłaliśmy.

P. *Zag. w Nowod.* Druk *Wypisów* ukończony i wkrótce rozesłane będą prenumeratorom.

P-ni *Janickiej w Nowym Dworze.* Otrzymaliśmy na roczną prenumeratę rs. 5. Należy się jeszcze 3 rs.

P. *Schmit w Żarkach.* Z Wychowania Domowego wyszło tylko 8 tomów, 8-my wysyłamy. Powieść „Pieniądz i Praca“ weale panu nie należała— się była ona dla prenumeratorów z Traktu I i V pan dostałeś Emancypowaną. - - Kalendarz Nadwiślanina był wysłany. — Koniec powieści Teof. Abiaggio posyłamy jakkolwiek reklamacyja zbyt przestarzała, oświadczamy przytem iż nadal podobnych reklamacyj po upływie 1 miesiąca, przyjmować nie będziemy mogli żadną miarą.

P. *Obrąpalskiemu w Bachczysaraju.* Nie nasza wina iż pan zmienił mieszkanie bez zawiadomienia o tem redakcyi, która wysyłała pismo dla pana do końca roku z. pod dawnym adresem do Nowoczerkaska, gdzie raczy się upomnieć o brakujące N-a. Koniec pow. „Pieniądz i Praca“ wyczerpany.

P. *Mczals. w Moskwie.* Odczyty 5-cio kopiejkowe obecnie nie wychodzą, dawne można wysłać pod osobną opaską za markami. Przy Opiekunie nie możem nic załączać, gdyż ustawa pocztowa na to nie pozwala.

P. *Turkiewiczowi w Szpanowie.* Algebra i Arytmetyka Moznika kosztuje z przesyłką rs. 1 kop. 70 u Kowalskiego Nowy-Świat 39.

P-i *Gruszeckiej w Juszkow-Rogu.* Prenum rs. 8 otrzymaliśmy d. 20 Marca, a na 2-gi dzień wysłaliśmy komplet Opiekuna.

P-i *Ilnickiej w Lewadzie* Prenumerata roczna wynosi nie 5 rs. ale 8.

P. Nowakowskiemu w Petersburgu. Kalendarz posyłamy

P-i Jankowski... w Trypli. N-ra zeszłoroczne wyczerpane. Emancypowana była rozesłaną dla prenum. na traktach II III i IV, pani jako należąca do traktu I, wysłano pow. „Pieniądz i Praca.“

Дозволено Цензурою.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.